

okładkach

BILUSZCZ



WARSZAWA, 17 KWIETNIA 1926 ROKU

OD ADMINISTRACJI

Prosimy o wpłacanie prenumeraty za drugi kwartał względnie za maj r. b. Czeki P. K. O. dołączamy do niniejszego numeru.

NA CZEKACH PROSIMY WYMIENIAĆ OKRES, KTÓREGO PRENUMERATA DOTYCZY, ORAZ PODAWAĆ DOKŁADNY SWÓJ ADRES, A TO: IMIĘ, NAZWISKO, ZAWÓD, MIEJSCE ZAMIESZKANIA, ULICĘ, Nr DOMU I POCZTĘ.

PO 95 groszy TOM

Anioł Pitou 5 t.	A. Dumas.
Anioł śmierci 2 t.	K. Tetmajer.
Atlantyda	M. Joks.
Azyadea	P. Loti.
Bajecznie kolorowe	Sewer.
Córka Balsama t. 1.	M. Leblanc.
Dama Kameljowa.	A. Dumas.
Hr. Cosel 2 t.	J. J. Kraszewski.
Józef Balsamo 12 t.	A. Dumas.
Król i Osioł.	M. Twain.
Lepsze czasy	B. Winawer.
Martin Eden 4 tomy	J. London.
Na bruku	K. Junosza.
Na srebrnym globie 2t.	J. Żuławski.
Naszyjnik Królowej 7 t.	A. Dumas.
Nędznicy t. 1 i 2.	W. Hugo.
Nowele	W. Grubiński.
Odysea północy.	J. London.
Ol-Soni-Kisań	W. Sieroszewski.
Opowieści mórz połud.	J. London.

PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE W ŻYCIU KOBIETY

D-ra J. ŚWITALSKIEJ

Jadyny pod względem tak wysokiej i wszechstronnej wartości podręcznik higieny kosmetycznej

JUŻ NIEBAWEM OPUŚCI PRASĘ

Cena około 8 zł.

RÓŻNE.

Bogusławski, Rocznice narodowe	zł. 12.—
Gądzikiewicz, Strój górali podhalańskich	„ 1.50
Gillard, Tragedja cara Mikołaja II	„ 8.—
Grubiński, Niewinna grzesznica (farsa)	„ 4.—
Jacyna, 30 lat w stolicy Rosji	„ 4.50
Jeleńska, Metoda pierwszych lat nauczania	„ 5.50
Królińska, Nasze morze	„ 1.50
Rutkowska, Edward Wittig	„ 3.—
Semkowicz, Oprawa książek	„ 3.50
Skalkowski, Z dziejów insurekcji w 1794 r.	„ 6.50
Szydłowski, Malczewski Jacek	„ 3.—
Wasilewski, Dyskusje	„ 5.—
Weysenhoff, Mój pamiętnik literacki	„ 4.—
Wojciechowski, Dzieje literatury polskiej	„ 8.—
Zorrille, Don Juan	„ 5.—

ŻMIJA EGIPSKA.

ANNIE VIVANTI

w świetnym przekładzie T. Jakubowicza jest to, w lekką formę beletrystyczną ujęta, bardzo ważna i aktualna sprawa, wyświetlająca wiele problemów etycznych, niepokojących dzisiejsze społeczeństwo.

Cena zł. 3— Z przesyłką polec. 3.50.

NOWE WYDAWNICTWA BELETRYSTYCZNE

Barszczewski, Jak być mogło	zł.—.80
Daniłowski, Ida płacze	„ 2.20
Domańska, Blaski	„ —.80
Dygasiński, Gody życia	„ 2.95
Gheon, Pasterka wśród wilków	„ 1.60
Gwiżdż, Obrazy na szkle	„ 3.20
Iwaskiewicz, Pejzaże sentymentalne	„ 4.50
Jellenta, Rycerze lilji	„ 6.—
Kellerman, Głupiec	„ 3.60
Kiedrzyński, Żona i nie żona	„ 6.—
Korzeniowski, Pojedynek	„ —.80
Krzewiński, Z dziejów tęsknoty	„ —.80
Kwaśniewski, Wspomnienia legjonowe	„ 3.50
Miciński, Wita	„ 8.—
Miłaszewska, Zatrzymany zegar	„ 3.20
Oppman, Stare miasto (poezje t. I)	„ 5.—
Ossendowski, Płomienna północ cz. I i II po.	„ 6.50
Ostrowska, Ta, której nie było	„ 2.50
Perzyński, Raz w życiu	„ 6.—
Rapacki, Romans pani majstrowej	„ —.80
Rodziewiczówna, Niedobitowski z granicznego bastjonu	„ 3.60
Rychliński, Mah-jong	„ 4.—
Sabatini, Sokół morski	„ 8.80
Stevenson, Opowieści nocne	„ 4.80
Yeats, Opowiadanie o Hanrahanie (t. 41 Laureatów Nobla)	„ 5.—

NASZ DZIAŁ KSIĘGARSKI DOSTARCZY

KAŻDĄ KSIĄŻKĘ

ZA CENĘ KATALOGOWĄ, DOLICZAJĄC ZA PRZESYŁKĘ PRZECIĘTNIE 15 GR. OD TOMU PLUS 30 GR. POLECENIE ZA CAŁĄ PRZESYŁKĘ. PRZY ŁASKAWYCH ZAMÓWIENIACH PROSIMY O WNOŚZENIE CZĘŚCI NALEŻNOŚCI ZNACZKAMI POCZTOWEMI, PRZEKAZEM, LUB CZEKIEM P. K. O. 3.700.

PO 95 groszy TOM

Opowieść wigilijna	K. Dickens.
Ostatni z Siekierzyńskich	J. J. Kraszewski.
Panna Fifi	G. Maupassant.
Powrót Beatryczy	E. Ligocki.
Pretendent z Ameryki	M. Twain.
Prawo białego człowieka	J. London.
Przygoda 2 t.	„
Przygody C. de Bergerac	Gallet
Serce kobiety	J. London.
Siódme amen	W. Gomułicki.
Syn słońca	J. London.
Szczęśliwe dni V. Zantena	Bruun.
Trzej muszkietierowie 3 t.	A. Dumas.
Upiór w operze 2 t.	G. Laroux.
Waterloo	K. Tetmajer.
Wehikuł czasu	H. G. Wells.
Wilk morski 3 t.	J. London.
Wyga	„
Zew krwi	„
Znajomek z Fiesole	B. Winawer.

ZBIÓR MONOGRAMÓW ZOFII MACHOWICZOWEJ KAŻDA Z PAŃ,

nie umiejąca nawet haftować, z naszego „ZBIORU“ niezawodnie skorzysta, gdyż jest zaopatrzone w ilustrowane wskazówki haftowania.

Cena z przesyłką zł. 5.—

DLA MŁODZIEŻY

Czarska, Królowna Kopciuszek	zł. 8.—
Czyżowski, Szalony lotnik	„ 4.20
Dyakowski, Nasz las	„ 5.—
Dickens, Mała Dorrit	„ 6.40
Fabre, Nasi sprzymierzeńcy	„ 6.—
„ Szkodnicki	„ 6.—
Gomułicki, Wspomnienia niebieskiego mundurka	„ 5.—
„ Życie dla ojczyzny	„ 4.70
Marcinowska, W upalnym sercu wschodu	„ 6.—
Ostrowka, Bohaterski Miś	„ 4.50
Rosinkiewicz, Złoty sen Lamikai	„ 4.20
Stevenson, Wyspa Skarbow	„ 6.80
Umiński, Wędrowiec leśny	„ 4.60
Urbanowska, Księżniczka	„ 4.20
Zakrzewska, Białe róże	„ 6.—
„ Dzieci Lwowa	„ 8.—



ROK LIX

№ 16

PISMO MĄDROGODNIE I ILLUSTROWANE DLA KOBIEC

WARSZAWA, 17 KWIETNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Walka narodów a międzynarodowa łączność intelektualna—*C. Wołewska*. Bezkarność najwinniejszych—*H. Ceysingerówna*. Dwa salony w paryskim „Grand Palais”—*M. Czapska*. Wiersze: „Siedziałem raz...”—*Jan Gerżabek*. List—*W. c. d. Borudzka*. Jej drugi mąż — *M. Drucka*. Wichry go zwiały... (dok.) — *Władysława Jankowska*. Lato (dok.) — *Janina Przecłowska*. Krystyna Rossetti — *Z. Reutt-Witkowska*. Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszanka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z książek—*H. B.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Woreczek ręcznie haftowany. Modne kapelusze—*Well*. Historia rękawiczki—*Spero*. Z hodowli świń—*H. Bilska*. Truskawki—*Z. ska*. Dyspozycje obiadów — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jarek i Hamlet” (kronika z zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.) — *Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wosniotyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

WALKA NARODÓW, A MIĘDZYNARODOWA ŁĄCZNOŚĆ INTELEKTUALNA



Nic tak jak wojna nie wyjaskrawia drzemiących na dnie duszy ludzkich złych i dobrych porywów. Ubnaża się w całej pełni demonizm i anhellizm, szal zniszczenia, mordu, zemsty, głód krwi, żądza rabunku i równocześnie — słodki żar niesienia ulgi cierpiącym, kojenia ran zadanych. Żołnierz - wróg

i samarytanka, opatrująca rany nawet wroga. Nad krwawymi zapaśnikami czerwony krzyż tkliwego współczucia i opieki, symbol międzynarodowego anhellizmu, oblicze Chrystusa zwrócone ku tym, którzy zjadają sami siebie.

Demon i anioł trwają w odmętach powojennych. Szatan burzy się, ciska, miota, walczy na progu wielkich świątyń pokoju, zbudowanych przez tę część ludzkości, która ma już dosyć walk i chciałaby pracować bez przeszkód. Anioł usiłuje nawracać ludzkość na drogi porozumienia.

„Smętek*”) z nad Sprewy — narazie — większą ma siłę. Rozchwiał się plany genewskie. Do września zawieszono wysiłki, mające na celu posadzenie przy jednym stole wroga, obok wroga, żeby droga wymiany zdań i żądań wobec aeropagu powołanych sędziów załatwiali wzajemne porachunki. Spokój Europy odłożony na później. Odmęt powojenny trwa — szal uraz, nienawiści, piekło intryg i knoń podziemnych i zasadzek szatańskich. A Polska, jak sęp na rozdrożu, który zawadza bliskim sąsiadom i ich przyjaciółom, nie przestaje być celem najzjadliwszych pocisków. Miotają je ci nawet,

którym zaledwie coś majaczy się, że jest gdzieś na północy jakiś taki dziki kraj.

Jedna z bardzo czynnych członkiń Ligi Związku Narodów (League of Nations Union), opanowanego mocno przez wpływy niemieckie, Miss Blanche Dugdale, jakoby siostrzenica Balfoura, spotkawszy na pewnym bankiecie byłego posła amerykańskiego w Warszawie, wielkiego przyjaciela Polaków, p. Gibsona i dowiedziawszy się, że wraca z Polski, wykrzyknęła z oburzeniem: „Oh! I hate those filthy Poles.” (Oh, ja nienawidzę tych plugawych Polaków!)

Pan Gibson zapytał, czy zna Polskę? A ona z pasją: „Nie znam i nie chcę znać”.

Szczeniemiem trafiła na rozmówcę, który stanął gorliwie w obronie owego „plugawego” narodu. Ale ileż takich pocisków z grubej Bertie nie ma kto odeprzeć!..

Powoli, powoli rozpina już jednak blade tęcze nad przepaściami cichy anhellizm. Zaczyna się od prób międzynarodowego porozumienia intelektualnego.

Jeszcze warczą i porykują Smętki-demony, jeszcze macą kadzie narodów, a już dobre białe ręce przerzucają mosty świetliste współporozumienia.

Stworzony przez Ligę Narodów, dzięki pomysłowości, zamierzeniom i najczynniejszemu poparciu Francji, dźwignął się Międzynarodowy Instytut współpracy naukowej ze stałą siedzibą w Paryżu. Celem jego wymiana idei, doktryn, teoryj,

*) Ob. Żeromski „Wiatr od morza”.

wzajemnego przenikania się intelektów, ześrodkowania inicjatyw publicznych i prywatnych, które dążą do ułatwienia i wzmoczenia pracy umysłowej. Instytut obejmuje wszystkie dziedziny, związane z pracą intelektualną. A więc: dział Sztuki, prowadzony przez Belgijczyka; Literatury, przez Chilejczyka; Prawa, przez Hiszpana; Nauki, przez Niemca; Spraw ogólnych, przez Anglika; Informacyj przez Włocha; Sekcję spraw uniwersyteckich, najbardziej może odpowiedzialną ze wszystkich, powierzono Polakowi, prof. dr. Haleckiemu. Zadaniem jej regulowanie wymiany profesorów i studentów, układanie planu wykładów i miejscowości, w których mają być prowadzone. Wreszcie bardzo rozległa korespondencja z wyższymi uczelniami świata całego. Do wskazań Instytutu należy stworzenie prawa własności naukowej, rozwój i umocnienie ustawodawstwa w dziedzinie sztuki, organizacja międzynarodowej bibliografii, ujednostajnienie nomenklatury naukowej, opieka nad zabytkami historycznymi, porozumienie w sprawie muzeów, bibliotek, wystaw sztuki.

Działalność w tym kierunku już wydaje plony. Departament badań naukowych i przemysłowych angielskiego Min. Spraw. Zagr. po raz drugi przesłał Polskiej Sekcji Międzyn. Inst. Współpr. umysłowej listę wydawnictw naukowych z prośbą o wykaz prac, któreby uczeni polscy chcieli ofiarować wzamian za tamte.

Instytut popiera materialnie także i Polska. Czy oprocentuje się należycie wdowi jej grosz? Niełatwo jest obliczyć na pieniądze dorobek duchowy, który już — mimo krótkiego trwania organizacji — daje znać o sobie. Staraniem Instytutu w początkach jego istnienia został urządzony w Sorbonie odczyt p. Henryka de Monfort o polityce polskiej Francji w XIX w. Mówca wykazał na mocy logicznych i zwięzłych powiązanych wypadków dziejowych, jak bardzo groźnie odbiło się na losach Francji każdorazowe osłabienie naturalnej solidarności polsko-francuskiej, każde odstępstwo od zasad polityki polskiej, której podwaliny ugruntuował jeszcze Richelieu i Ludwik XIV. Klęskę 1870 r. i krew synów Francji, przelaną w strasznych bojach dni współczesnych, przypisuje p. de Monfort zostawieniu Polski jej własnemu losowi przez obu Napoleonów.

* * *

Pokrewny charakter, choć z natury rzeczy o daleko węższym zakresie ma inna placówka, mianowicie: „Międzynarodowa federacja kobiet z uniwersyteckim wykształceniem”. Istnieje ona już od 1920 r. i obejmuje przeszło 20 narodów, ale w ostatnich czasach dopiero powstał zamiar utworzenia Sekcji polskiej z centralą w Warszawie. Praca już rozpoczęta. Kraków i Poznań zgłosiły przynależność swoją. Powoli niewątpliwie przyłączy się Wilno i Lublin, a pozatem wszystkie nasze poszczególne doktorki, prawniczki, filozofki, które skończyły studia wyższe bądź w kraju, bądź zagranicą. Celem organizacji jest pomoc wzajemna w nauce, udzielanie rad, wskazówek, objaśnień, wymiana studentek, wymiana książek i wydawnictw naukowych, walka o stanowiska, których kobieta nawet z dyplomem uniwersyteckim jeszcze osiągnąć nie zdołała.

Procent kobiet, które skończyły wyższe studia, jest w Polsce większy niewątpliwie, aniżeli w nie-

jednym państwie zachodnio-europejskim. Przystąpienie ich do międzynarodowej federacji, pominiawszy względy czysto materialne, jak otrzymywanie stypendjów na dalsze studia zagraniczne, korzystanie ze specjalnych pomocy naukowych i ognisk studenckich, z rad i wskazówek, udzielanych przez centralę, której siedziba co dwa lata mieści się w innym środowisku, jest o tyle ważne, iż kobieta nasza znajduje nowy teren przeciwdziałania oszczerstwom i kłamstwom, szerzonym na szkodę Polski przez jej wrogów.

Ile już sprosowanych błędnych opinii zawdzięczamy temu bezpośredniemu zetknięciu się żywiołu polskiego z obcokrajowcami, którzy uważają nas dotąd jeszcze za zulusów północy, albo eskimosów środkowej Europy.

* * *

Niezależnie od Międzyn. Inst. Wsp. Nauk. i od Federacji kobiet z uniw. wykształceniem powstała Międzynarodowa Konfederacja pracowników umysłowych, której celem jest już wyłącznie obrona interesów tej kategorii fachowców. A więc: unormowanie własności produkcji umysłowej, kontrakty zbiorowe, ustalenie ogólnego typu tych kontraktów i wzajemna wymiana pracowników umysłowych. Do Konfederacji należą przedstawiciele Anglii, Austrii, Czechosłowacji, Finlandji, Francji, Holandji, Polski i Rumunii. Pierwszy kongres zwołany został w Wiedniu na 6 kwietnia r. b.

Trzy wyżej wymienione organizacje o pokrewnych celach zleją się zczasem niewątpliwie w jedno potężne międzynarodowe ognisko współpracy. Tymczasem każda z nich żłobi swoje własne drogi, łatwiej bowiem pracować w mniejszym zespole i z własnym dorobkiem przyłączyć się do wielkiej centrali, aniżeli podejmować dzieło, zakrojone odrazu na najszerszą skalę.

Przemozna chęć intelektualnej łączności skłoniła miliardera amerykańskiego Rockefellera do utworzenia stałej fundacji stypendjalnej dla obcokrajowych studentów. Przed kilkoma tygodniami bawił w Warszawie, przedstawiciel tej fundacji, p. A. Russel-Mann dla omówienia kwestji wysłania stypendystów Polaków na studia do Ameryki, a także dla bezpośredniego zetknięcia się z nimi.

Z darów Rockefellera powstaje nowe Muzeum starożytności egipskich i Instytut archeologiczny w Kairze, jakich jeszcze dotąd świat nie posiada.

Jeżeli do tych przejawów intelektualnej łączności dodamy zamierzenia, dążące do stworzenia organizacji o charakterze często utylitarnym, jak np. Międzyn. Bank rezerwowy, któryby przy współudziale Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji miał na celu zapobieżenie dalszemu spadkowi walut europejskich i utrzymanie ich na poziomie złota; jeżeli zwrócimy uwagę na zawierane coraz to nowe traktaty handlowe i układy w sprawie tranzytów kolejowych, na kongresy w kwestjach najbardziej palących i dokuczliwych, jak walka z nędzą mieszkaniową, z budową miast-ogrodów i wsi, to przekonamy się dostatecznie, że świat po wojnie wchodzi w okres twórczy, który wymaga ciągłej wymiany pomysłów i doświadczeń, ciągłej wzajemnej pomocy w podjętych zamierzeniach. Oby jednak nareszcie

wysiłki te przestały być przedzą pajęczą, którą psują i rwą na strzepy złe ręce.

C. Walewska.

BEZKARNOŚĆ NAJWINNIEJSZYCH

Dla poczucia moralnego prawdziwie współczesnego człowieka niema szkaradniejszego występku, niema potworniejszej zbrodni społecznej nad ciągłymi korzyściami materialnymi z cudzego moralnego upadku, nad kupczenie duszą i ciałem bliźniego, nad stręczenie do nierzędu i zarabianie tym sposobem.

Ludziom minionych okresów historycznych rzecz ta nie przedstawiała się w takiej ohydzie. Dowodzi to, że poczucie moralne ludzkości kształci się i doskonali, wbrew opinjom pesymistów. Dla nas dziś, mniejszą o wiele zbrodnią jest naruszenie własności, mniejszą nawet zamach na życie człowieka. Morderca zabija tylko ciało, handlarz żywym towarem, stręczyciel, czy alfons zabija duszę człowieka i z powolnego jej gnicia ciągnie materialne zyski. A mimo to, przeciw wszystkim tym przestępstwom i podobnym im kodeksy całego świata są nadzwyczajnie słabo uzbrojone, a stosowanie tych pobłażliwych przepisów prawa jest jeszcze pobłażliwsze.

W praktyce życia, powiedzmy krótko, najwstrętniejsze te zbrodnie uchodzą dotąd bezkarnie.

Wśród wskazanych powyżej przestępców, największymi tuzami są, bez wątpienia, handlarze żywym towarem.

Dla wielu osób handel żywym towarem jest dziś jeszcze bajką o żelaznym wilku, sensacją dziennikarską, wymysłem kinowym.

Jakimże to jednak dzieje się sposobem, że wszystkie porty Ameryki południowej, południowej Afryki, krajów muzułmańskich, nawet Indji Wschodnich i Australji pełne są prostytutek polskiego pochodzenia? Jakim sposobem stało się, że w Argentynie i Brazylii Polka jest synonimem prostytutki?.. Czy te wszystkie dziewczęta z małych miasteczek i wiosek polskich i z wielkich środowisk fabrycznych wyjechały same, z własnej inicjatywy do domów publicznych Starego i Nowego Świata? Czy wszystkie wyjechały dobrowolnie? Czy nie było wśród nich oszukanych, przymuszonych, porwanych poprostu?..

Opinia publiczna traktuje handel kobietami i dziećmi, jako fikcję, dlatego, że nie widzi, aby komukolwiek zarzut tego rodzaju udowodniono, aby go osądzono i ukarano przykładowie. Co najwyżej, czyta się, że policja jest „na tropie” takiego przestępcy. Parę razy wymieniano w gazetach nazwiska przybyłych do nas z zagranicy poszukiwaczy ludzkiego towaru. I wiadomości takie odrazu przycichały, stłumione niewiadomo jaką siłą.

Czasem jakiś energiczniejszy i bardziej świadoma spraw życia dziewczyna wymknie się z pułapki; prasa podnosi z tego powodu alarm chwilowy, a na jutro wszystko już jest w porządku... winowajca się wymknął; nad całą historją zalega milczenie.

Ale to milczenie jest wymowne.

Nie, handel kobietami i dziećmi nie jest fikcją! Jeśli nie dochodzi do procesów i kar — to źródło zjawiska tego tkwi gdzieś indziej, z jednej strony w ułomności ustaw przestarzałych, wyrosłych z pojęć prawnych starożytnego świata, wzorowanych na kodeksach z przed paru tysięcy lat, z drugiej zaś na znakomitej organizacji międzynarodowego handlu kobietami i dziećmi.

Organizacja ta jest swojego rodzaju potęgą, przede wszystkim potęgą finansową, a to ma dziś, jak i przed wiekami, nie byle jakie znaczenie. Następnie — solidarność, związanie niemi wspólnego

interesu tak silne, że nie trafiają się tam zdrady i odstępstwa; wreszcie — bezwzględność: dla bandytów tego typu niema środków złych...

Strona przeciwna była do niedawna zupełnie bezbronna, a i dziś jest jeszcze bardzo słaba.

Tą stroną przeciwną jest samotna zazwyczaj, młoda, najczęściej ciemna i uboga kobieta; z pomocą śpieszą jej od niedawna różnych nazw organizacje społeczne; czujne oko rządów zaczyna dopiero w ostatnich latach, pod naciskiem czynników społecznych zwracać na sprawę tę pewną dozę uwagi.

Jak trudno jest handlarza żywym towarem wytropić, a wytropiwszy udowodnić mu winę, świadczą np. wieloletnie wysiłki żydowskiego Towarzystwa Ochrony Kobiet w Warszawie.

Szczególnie charakterystyczną jest sprawa niejakiego Sruła Dawida Blejmana, przeciwko któremu wniosła skargę na początku 1914 r. Chaja Kurzeisen o unieszcześliwienie jej córki Sury, umieszczenie jej w domu publicznym, a następnie skłócenie jej do wyjazdu do Ameryki. Było takich uwiedzionych przez Blejmana dziewcząt więcej, między innymi Tema Preiss.

Żydowskie Towarzystwo Ochrony Kobiet zajęło się tą sprawą bardzo gorliwie; prowadziło ją przez lat 10, pod rządami: rosyjskim, niemieckim i polskim i wkońcu przegrało. Przegrało, gdyż, nim sprawa została rozpatrzona, Blejman wywiózł najważniejszego świadka, Temę Preiss do Argentyny. Skutkiem tego sprawę odkładano wciąż. Ślad Temy Preiss zaginał.. i w r. 1924 Blejman został uniewinniony dla braku dowodów.

Takie uprowadzanie świadków, działanie na nich groźbami, lub przekupstwem jest w tych sprawach na porządku dziennym. Ofiarom tym zamyka usta wstyd, strach, lub obietnice i podarki.

To też handlarz żywym towarem nawet w tym wyjątkowym wypadku, gdy ramienia jego dotknęła ręka sprawiedliwości, uchodzi jej zazwyczaj bezkarnie.

Drugą kategorię pod względem moralności, nie ustępującą zresztą w niczem pierwszej, stanowią właściciele domów publicznych i domów schadzek, u nas już dziś tajnych. Ustawa bowiem sejmowa z r. 1922 zabrania prowadzenia tych lukratywnych procederów.

Wbrew temu prawnemu zakazowi, instytucyj tych jest pełno, zarówno w stolicy, jak i w miastach prowincjonalnych. Wykrycie ich nie przedstawia zgoła wielkich trudności. To też w ostatnich czasach dzięki gorliwej pracy policji kobiecej zdemaskowane przedsiębiorczynie, jedna za drugą, stają przed sądami. Tu jednak...

Ale lepiej przyjrzyjmy się zbliska poszczególnym fragmentom tego ciekawego zjawiska.

Dn. 11 marca r. b. stanęła przed sądem pokoju XI okręgu niejaka Kruszczyńska, oskarżona przez Urząd sanitarno-obyczajowy o utrzymywanie potajemnego domu publicznego przy ul. Poznańskiej 4.

Zakład ten był, jak twierdzą wtajemniczeni, przez lat 5 skandalem i utrapieniem całej kamienicy. Mieszkańcy jej budzeni byli co nocy wrzaskami błotni, bijatyk i orgij. Połączony, jak się zdaje, w jedno przedsiębiorstwo z tajnym wyszynkiem wódki, mieszczącym się w tym samym domu, miał nadto tę

właściwość, że zabłąkanych doń nocnych gości okradano tam raz po raz z pieniędzy, zegarków i t. p. Życie w kamienicy tej stało się wkońcu nie do wytrzymania. W dni świąteczne pijacy legiwali tam na schodach, obrzucając wymysłami przechodzących lokatorów. Można tam było również w kłatkach schodowych natknąć się na inne budujące widowiska. To też mieszkańcy kamienicy kilkakrotnie zwracali się ze skargami do różnych władz, atakowali prasę, która kilka rodzajowych obrazków przeniosła stamtąd na swoje szpalty. Wreszcie Urząd sanitarno-obyczajowy, zebrawszy, przy pomocy policji kobiecej, wszelkie dowody winy Kruszczyńskiej, zażądał jej eksmisji z mieszkania i sprawę jej wniósł do sądu. Sprawa była „obstawiona” porządnie. Kilkunastu świadków ze strony oskarżenia, w tem kilka policjantek czekało przesłuchania.

I była scena dosyć ciekawa dla tego, kto by ją chciał ująć w pewnej historycznej perspektywie. Za tą pełną blondyną, o rozłożystych biodrach, młodą jeszcze i przystojną, mimo lat czterdziestu i z ławy oskarżonych rzucającą ironiczną uśmiechy na salę, stały wieki tradycji; za nią stał Babilon i Fenicja, i starożytna Grecja, i Rzym... Nie wiedząc o tem, nic a nic, ona tam była widomym symbolem przeszłości... A przeciw niej drobne, nerwowe policjantki, gwarne ptactwo wiosny, unoszące się nad zatechłym od tysięcy lat bagnem...

Tym razem jeszcze zwyciężyła tradycja. Kruszczyńska z całą otwartością przyznała się do winy, a sąd wobec tego, uznawszy badanie świadków za zbędne, wydał wyrok: tydzień aresztu, w zględnie 50 zł. kary.

„Może przyprowadzicie jeszcze więcej świadków” — urągała stronie przeciwnej oskarżona, gdy opuszczano salę sądową.

Urząd sanitarno-obyczajowy apeluje.

Druga sprawa, w sądzie przy ul. Kruczej № 10, sądzona była 17 marca r. b. przy drzwiach zamkniętych. W roli oskarżonej występowała tam była artystka kabaretowa, osoba w pewnych sferach dość znana, Sylwia Coletti, zresztą na dzień powszedni nosząca nazwisko Rojzy Rzepkovicz. Chodziło o dom schadzek przy ul. Marszałkowskiej 64, do którego zgłaszało się t. zw. „lepsze towarzystwo”. Zaskoczona rewizją, w której brała udział także jedna z policjantek, „artystka” przyznała się do wszystkiego. Głębiej jeszcze pogrzyżyła ją służąca,

z którą była w niezgodzie, a która nie omieszkała uwydatnić, że na schadzki przybywają także nieletnie dziewczęta, panienki ze sfer inteligentnych z okolic Warszawy. Wymieniła nawet ich imiona, nie wiedziała nazwisk. Wyrok w sprawie tej wypadł trochę ostrzejszy: miesiąc bez względu na aresztu.

I tym razem Urząd sanitarno-obyczajowy odwołuje się do wyższej instancji.

Nie chcielibyśmy w najmniejszej mierze obniżyć powagi sądu. Tu jednak chodzi o rzeczy tak zasadnicze, o przyszłość zdrową i czystą narodu, lub o jego degenerację, że nie możemy i nie mamy prawa powstrzymać się od wypowiedzenia kilku uwag. Nie ulega dla nas najmniejszej wątpliwości, że to owa przeszłość dziejowa zaciążyła tak na werdyktach sędziowskich. Jakże bo można karać rzeczy dotychczas niekaralne, rzeczy tolerowane, istniejące od tysięcy lat, wreszcie... rzeczy konieczne?!

Otóż to właśnie! To przeświadczenie głęboko zakorzenione, głębiej od wszystkich innych przesądów i uprzedzeń, to jest przyczyną, że stosuje się najniższy wymiar kary tam, gdzie wobec niedostateczności przepisów niezmienionej dotąd ustawy, należałoby się trzymać norm możliwie najwyższych.

Któż wątpić może, że tak „ukarane” ze świeżym animuszem i pogodną wiarą w przyszłość rozpoczyna swe rzemiosło na nowo po „odcierpieniu” kary? One je z pewnością już uprawiają znowu!

Na cóż więc strata czasu i pieniędzy państwowych, na co zachowywanie pozorów, którym nie odpowiada rzeczywistość?..

Obok tego jednak stwierdzić należy bardzo mocno, że wyroki takie nie odpowiadają już poczuciu moralnemu znacznej części społeczeństwa i że konieczność uchwalenia nowych przepisów prawa, karzących bardzo surowo wszelkie formy handlu nierządem, staje się rzeczą coraz pilniejszą.

Zarówno Polski Komitet do Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, jak wszystkie Towarzystwa Ochrony Kobiet, jak ideowo pracująca Policja Kobieca, jak wszyscy, którym przyszedł rozwój narodu w zdrowiu i czystości leży istotnie na sercu, stają na stanowisku, że zwalczając nierząd uderzać należy nie w prostytutkę, jak to dotąd bywało, a w tych, którzy z tego nieszczęścia, z tej najpotworniejszej klęski społecznej ciągnąć pragną nieprawie zyski. Byłoby rzeczą niesłychanie radosną, gdyby i sądy nasze stanowisko to zajęły. H. C.



DWA „SALONY” W PARYSKIM „GRAND PALAIS”



w ubiegłym miesiącu można było jednocześnie oglądać w „Grand Palais” przy Polach Elizejskich dwie bardzo różne w swej treści wystawy. Pierwsza to t. zw. „Salon des Indépendants”, który w tym roku obejmuje retrospektywną wystawę z ostatnich 30 tu lat pracy „Niezależnych artystów”.

Związek „niezależnych” powstał w 1884 r. jako reakcja przeciw oficjalnym „salonom” Paryskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Grupa założycieli, mając w świeżej pamięci prześladowania, którym ulegli pierwsi impresjoniści ze strony oficjalnej opinii, wzięli sobie za dewizę: „Bez jury i bez nagród.” Każdy malarz po wpłaceniu pewnej skromnej sumy miał prawo wystawiać w ich „salonie”. Zdarzyło się podobno, że zostało tam kiedyś wystawione płótno, które osioł ogonem „wymalował”, pomimo jednak tych złośliwych żartów może „Związek niezależnych” stwierdzić z dumą, po 40-tu latach istnienia, że wszyscy malarze tego okresu, którzy przejdą do historii francuskiego ma-

larstwa, byli ich wystawcami, a omijali oficjalne pokazy sztuki.

Z biegiem lat „Związek niezależnych“ nadmierne się rozszerzył, co obniżyło wartość artystyczną jego wystaw. Pomimo to tegoroczny „Salon“, obejmujący około 600 nazwisk (z których 75 należy do zmarłych malarzy), a zgorą 3000 obrazów, posiada kilkadziesiąt płócien pierwszorzędного znaczenia i tyleż samo dzieł wartościowych, lub oryginalnych.

Wśród mistrzów malarstwa ostatniej doby możemy oglądać tutaj płótna późniejszych przedstawicieli impresjonizmu, oraz dzieła następnej epoki Cezanne'a, którego kompozycyjna statyka przeciwstawiła się wyjątkowo poprzednio uwzględnianej dynamice wrażeń barwnych i świetlnych.

Tuż obok wiszą płótna Van Gogh'a, napiętnowane męką i szaleństwem ich twórcy.

Coraz większe uproszczenie form i wartości kompozycyjnych widzimy u późniejszych programowych malarzy, aż nas uderzą swą niezwykłą siłą ekspresji dzieła futurystów i kubistów (Delaunay, Ozenfant, Léger), wizje współczesnej nam już epoki: architektoniczna geometria, w barwy i formy ujęta mechanika, plastycznie wyrażony pęd mknącej przestrzeni, ruch stłoczonych maszyn, energia fizycznego wysiłku.

Wśród 3000 przeróżnych obrazów odznaczają się płótna Henri Rousseau, zwanego „cełnikiem“, którego twórczość, zadziwiająca w swej bezpośredniości artystycznej, nie możemy zaliczyć do żadnej szkoły, a która pomimo to, najniespodziewaniej, dla samego malarza, zdobyła sławę i uznanie.

(Rousseau malował, odpoczywając po całodziennej pracy na cie, a obrazy swe przywoził na wystawę „niezależnych“ na ręcznym wózku)!

W pobliżu Rousseau uderzają obrazy Toulouse-Lautrec'a głębokiego ilustratora wyszminekowanej nędzy paryskich kabaretów.

Z Polaków mamy tu kilka dobrych płócien niedawno zmarłego Eug. Zaka, ciekawe obrazy Makowskiego i Zawadowskiego, oraz kilka portretów Kramsztyka. Śmiało można powiedzieć, że wystawa jest „nieprzejrzana“ i że niejedna wartość ginie w tej różnobarwnej fali, którą nawet wprawne oko malarza nie jest w stanie ogarnąć za pierwszym razem.

* * *

Drugą z kolei wystawą, to doroczny „Salon des Arts Ménagers“. Odpowiedniej byłoby ją nazwać pokazem wiedzy gospodarczej, ponieważ hala, znajdująca się pod olbrzymią szklaną kopułą Grand Palais, przypomina raczej kuchnię, lub pralnię wypełnioną maszynami gospodarczego użytku, poruszanymi parą, gazem, lub elektrycznością, zaopatrzonemi w krany, dźwignie i guziki do regulowania prądu, lub ciśnienia. Podobno, że poza wystawami malarstwa są tylko dwa salony, które się liczą w Paryżu. To „Salon Samochodowy“ i „Salon Gospodarczy“.

Dowcipni Paryżanie powiadają, że średnio zamożny Francuz to tylko figura retoryczna, nie istniejąca w rzeczywistości, podobnie jak punkt w geometrii. Zaraz ponad tą granicą mamy właścicieli samochodów, od najmniejszego kabrioletu „Citroën“ począwszy, aż do świetnego „Rolls'a“ — ci

są klientami pierwszego „salonu“, poniżej zaś to ludzie skromni, których żony są zmuszone same sobie radzić w gospodarstwie, lub zadawać sobie pomocą „przychodnie do wszystkiego“. Ci ostatni odwiedzają tłumnie drugi „salon“.

Pierwszem moim wrażeniem przy zwiedzaniu tego oryginalnego „przybytku sztuki“, było, że pomysły wynalazki wystawców mają mało wspólnego z praktycznym zastosowaniem w małych gospodarstwach: szczególne piece do smażenia i pieczenia, radiatory ogrzewające, aspiratory kurzu, przyrządy do mechanicznego mycia i krojenia jarzyn, zmywania naczyń, polewania posadzek, prania bielizny itd. wymagają wszystkie elektrycznego prądu, gazu, bieżącej wody, które już same przez się stanowią wielką wygodę, ale nie są jeszcze niestety wszędzie rozpowszechnione. Poza tym przyrządy owe są bardzo kosztowne i przeważnie obszerne, nadając się raczej do kuchni, lub pralni wielkiego hotelu, czy pensjonatu, ale nie do małego, miejskiego mieszkania.

W dalszej jednak wędrówce przekonałam się, że są też i mniejsze, choć niemniej pomysły pokazy, które mogą zadowolnić skromniejsze gusta.

Otóż w jednym kącie hali spotkałam rozgorączkowanego pana, który namiętnie zachwalał swój patentowany „brise-jet“ — mały przyrządek przytwierdzony do kranu i usuwający bezwzględnie odpryskiwanie płynącej wody. Sam wynalazca, produkując bezustannie zalety swej maszyny jedną ręką, a wydając towar i resztę z pieniędzy drugą, akompanjował tę czynność nieprzerwanym potokiem słów o znaczeniu swego „brise-jet“ dla wygody, czystości i wdzięku każdego „chez soi“.

Jeszcze dalej znalazłam najnowsze modele przemysłnych maszyny do kawy, dowcipnie pomyslane wieszaki, ścierki nasycone odpowiedniami ingrediencjami i nadające połysk wszelkim przedmiotom jedynie za potarciem, szczotki do podłóg opatrzone ścierką mechanicznie się wyżywiająca, przyrządy do cerowania pończoch, łatania ubrań, mydełka do wybierania plam wszelkich, klej do zlepiania naczyń, odporny na wodę zimną i gorącą, najnowsze systemy piór samopiszących, spinek do włosów itd. itd.

Wśród donośnych głosów wynalazców, zachwalających swój towar, w szumie elektrycznych motorów przechadzały się w skupieniu małżeńskie pary paryskich „petits bourgeois“.

Na twarzach kobiecych malowało się głębokie zamyślenie; zapewne każda widziała oczyma duszy swą ciasną kuchenkę ze wszystkimi jej niedostatkami, przypominała sobie ciężki trud z węglem, popiołem, sprzątaniami, praniem... Każda rozmyślała nad tem, by tu jak najtaniej zaoszczędzić sobie jak najwięcej pracy?

Pomysłowość ludzka, zwalczająca tak dzielnie głód służby i mieszkaniowy, oraz dążąca do połączenia praktyczności z wygodą ze wszechmiar godna jest podziwu. Niestety jednak, ani mechaniczne szczotki i udoskonalone patelnie, ani nawet aspiratory kurzu i elektryczne piece nie zaradzą na kryzys finansowy, pod którego ciężarem jęczy powojenna ludzkość.

M. Czapska.

JAN GERŻABEK.

SIEDZIAŁEM RAZ...

*Siedziałem raz na brzegu morza,
Milczące legło mi u nóg,
Milczała purpurowa zorza
I milcząc mówił do mnie — Bóg!*

WANDA BORUDZKA

L I S T

Do osiemnastego kwietnia Warszawa będzie puściutka.

Nie będzie mnie już byle co — profil, głos, palto — zbijało z tropu na ulicy. Nie będę ci niechcący wyrządzała afrontów, wypatrując oczy na idącą trotuarem panienkę z łubianem pudełkiem, ani wyrwijając myślą na spotkanie starszej pani z parasolem.

Nie będziesz przybierał stu najrozmaitszych postaci, a raczej wszystkie one nie będą przybierały jednej.

I nie będzie już nagłego wysokiego podskoku serca przy każdym zapukaniu do drzwi koleżanki, lub służącej, odnoszącej łyżki i talerze. Coś mam, widzisz, z odwrotnie pojętych wakacyj z domieszką tego jeszcze zgubionego uczucia, że nie wiem nawet gdzie jesteś.

U krewnych na wsi. —

Tyle tylko mi to daje obrazu, że w tej chwili może jakieś obce gałęzie stukają w dach obcego domu, w którym mieszkasz. Chodzisz sobie pewnie całymi dniami na słońcu, które ostro przypieka przez chłód: tak jest w Łazienkach, gdzie przed wszystkimi ławkami leżą dywaniki ze śniegu dokładnie obrysowane kreskami cieni, a każde dziecko na własną rękę odczuwa rozkosz posiadania długiego patyka.

Tylko, że ty jesteś dorosły, zamiast patyka masz strzelbę i nazywasz to polowaniem.

Po gruntownym obiedzie jesteś śpiący, ale nie chcesz się kłaść przez ambicję, grasz w karty, czytasz wszystko, co jest: Ingeborgę, Wieczory Rodzinne, Chimere.

Nawypowiadawszy się — głos ze stolicy — politycznie, idziesz spać o dziewiątej. Czekoladowy, a może w łaty, wyżeł chrapie ci pode drzwiami. Nie wpuszczasz go do pokoju, bo nie znasz jego obyczajów i nie wiesz, czy nie zaczniesz bez sensu szczekać w środku nocy.

Rano masz świetnie oczyszczone buty, jak to potrafi zrobić tylko cudza służąca, i znowu idziesz tam, gdzie już przez noc narosło trochę trawy — w mniej ostrym chłodzie — ostrzejszym słońcu.

Może zgaduję niedobrze, ale cóż jestem winna, że nie wiem nic więcej, że muszę się uciec do Bluszczu, żeby cię tych kilka byle jakich życzliwych słów doszło.

Żebyś to sobie przypadkiem, niechcący wziął do rąk, znalazł moje nazwisko, przeczytał. Ale gdyby nawet był przytem obecny ktoś z twojej rodziny, możesz się czuć jak najpewniej, choć jesteś — z zasady — bojący: w moim liście nic takiego nie będzie. Powinieneś go skończyć powoli, przejrzeć mody i wzór na serwetkę, coś nawet w rodzaju „Bluszcz — to dobre pismo“ powiedzieć i spokojnie odłożyć go na bok.

Że ci przytem leciutko, o włos zdrzy ręką i że natychmiast sięgniesz do gościnnego pudełka po drugi papieros, tego już nikt nie dopatrzy.

Zresztą, list będzie wesoły.

W moje życie, jak w przetak, los nasypał samych dobrych zdarzeń. Dostałam mansardowy pokój na tem samem piętrze. Ma okno w suficie, niebo widać zgóry — tak właśnie być powinno. — Nie wyobrażasz sobie jak jest bardzo, z tej pozycji widzialne, niebieskie Drugiem okienkiem, malutkiem, wstrząsają wszystkie wiatry i patrzy się z niego, jak z wizji astrologa, na Wspólną. Pozatem zrobiłam sobie

(sposobem z Revue Parisienne) kretonowe pokrycie na fotel i łóżko. Mam różową bibułę na stole — musi tak być, bo ściany są różowe, — witrażową latarenkę i cztery doniczki mocnych zdrowych „Głupich Janków“ — po złotemu za głowę. Pławią się w słońcu i wydzielają tlen czy węgiel — nie pamiętam.

To już chyba wszystkie nowości. Czy nie zazdrościsz mi bujności życia? Wyciągnęłam ten cały meblunek, żeby zaprzeczyć twojemu — pamiętasz — „bo ciebie już nic nie obchodzi“. (Jestem z całym uznaniem, żeś nie dodał w tem miejscu „poza mną“).

A nawet nietylko to mnie zajmuje.

Dla dopełnienia działu szczęść Maeterlinckowskich mogę Ci przytoczyć przykłady całego szeregu innych rzeczy, co mnie cieszą:

1) W obecnej fazie, póki sobie jeszcze nie poradziło z zimą — słońce — później nie wiem, jak będziemy z sobą. Wszędzie cieszy mnie gdzie tylko złapie: zgóry przez okno, w Łazienkach, na ulicy.

2) Ciepła woda. Właściwie powinnam była umieścić ją na pierwszym miejscu, bo cieszy mnie, we wszystkich postaciach: z eliksirem do zębów, z mydłem do kąpieli, z „Pixinem“ czy inną „Eunice“ do głowy.

3) Zimna woda już mniej. — Do picia jeśli się chce pić, do kwiatu, jeśli mam kwiat.

3) Nowe pończochy: skrzypią i dodają pewności siebie.

4) Mandarynki — nie mogę tego powiedzieć o ciastku.

5) Feluka. Nawet kiedy przychodzi w czerwonej chustce, której jej zazdroścę i martwi się, że zrobiła tylko dwadzieścia pięć stron referatu z Benneta.

6) Jak mi się dobrze ułożą włosy. Muszą być trzy fale i jednakowo opadać na boki.

7) Gorączka. Każda kreska wyżej 38 jest upojeniem. Na cyfrę 40 patrzę, jak na ziemię obiecaną z zamiarem niedotrzymania, zresztą. 40 i wyżej jest — dla mnie symbolem miłosiernej, opiekuńczej śmierci z ręki Boga.

8) Jasmin de Corse, Coty'ego, — ale jest dla mnie nieszczęśliwy i kosztuje osiem złotych.

9) Imieniny Profesora. Są pretekstem do postania jednego — albo trzech kwiatków i zupełnego odwrócenia myśli od wszystkiego, co niekoniecznie różami kwitnie w moim życiu. Nie piszę tego w określonym porządku. Niech się na mnie nie gniewa, jak to będzie czytał, że umieściłam go po ciepłej wodzie.

Zawsze jest dla mnie jedną z największych radości.

— Takie są moje dzienne szczęścia.

Z nocnych — do pierwszej kategorii zaliczam dobrze naciągnięte prześcieradła, ciepło w pokoju i światło, padające na książkę, nie na oczy. Czasem też jak mi się śnią Włochy. Nie mam manji na punkcie cyprysów, i wogóle przypuszczam, że się to tak tylko we śnie nazywa, bo właściwie jest się jakby na innej planecie.

Śni mi się wtedy niebywała miękkość w powietrzu i spokój w duszy.

Takie są te dobre noce.

Ale jak wszystko na świecie — dzielą się one jeszcze na złe i nijakie. W nijakich niema nic — to znaczy jest puste miejsce, dalszy ciąg za chwilę. —

W złe noce niema mowy o „zasnąć“. Ciągle nawiązuję świadomość do tego, co jest... co nie jest dobrze w twojem i mojem — do niedawna byłabym powiedziała — w naszym — życiu. Z tym gatunkiem nie mogę już sobie poradzić bez czegoś na sen. Po trzykroć obrzydliwy smak kakao w Weronalu!

Ranki się dzielą tak samo, (możnaby zrobić wykres). — Dobrym przyświeca ktośś z radości najczęściej — z urzędu jakby — słońce. O nijakich wogóle nie można nic powiedzieć, bo ich prawie że niema. Złe mają swoją określoną cechę, po której je zawsze poznaje: mokre, narazie ciepłe, stygnące raptem ślady, idące od oczu, skroni, aż do szyi — przy podniesieniu głowy — dwie wilgotne plamy na poduszce.

Ale nie wiem czemu zaczęłam o tem mówić — miałam przecież roztoczyć przed tobą tylko pawi ogon swego szczęścia. Widzę teraz, że pominęłam w niem, a może tylko podświadomie zachowałam na koniec radość największą, tak wielką, że wszystkie tamte w niej rozmieszczone wygodnie zostałyby jeszcze dużo wolnego miejsca.

Mam na myśli z niczem nieporównaną uciechę naszych spotkań. Składa się na nią cały szereg momentów. Pierwszy jest najsilniejszy: pewno dlatego, że jego fizjologicznym terenem jest serce.

Najpierw szarpnięcie, niby ostry chwyt czyjejs dłoni — później nagły upadek, przerwa, zamarcie, milczenie. A za chwilę dla nadrobienia tej przerwy znowu pęd serca lotny, pobjeżny, który przejdzie dopiero stopniowo w wyrównane, świadome, celowe już uderzenia.

Boję się zawsze i nawet trochę nie lubię tej chwili: jest widać dla mnie za ostra, a wszystko przecież, od noża począwszy, za ostre musi być także w odczuciu bolesne. To też chętnie wymieniam ją na następne, w których mówimy tak dużo i tak ogromnie wesoło! Słów jest moc, sypkie są, płynne, lub lotne, wszystkie dobre, każde prawie najlepsze — niewiadomo jest nawet, co wybrać.

Więc ślizgamy się po nich, zrywamy, lecimy dalej. Często dwa pierwsze już starczą za dalsze, więc się myśl, zrozumianą odrazu przerywa w połowie — nawiązuje do innej...

Zawsze wtedy mówimy o głupstwach, najzwyczajszych drobiazgach: gwóźdź wbity w ścianę, sznureczek, kontakt od lampy, pantofle, znajomi, dzień, książka, pogoda, abażur.

Każdą rzecz, potrzymaną chwileczkę, odstawiamy zpowrotem i tak już nam instynkt pomaga, że w gąszczu tych wszystkich detali potrafiemy się nieszkodliwie prześliznąć, o nic się w drodze nie potknąć, nie zaczepić, nie skaleczyć, nie złamać.

Życie wtedy jak mały obłoczek, strasznie prędko przemyka po niebie.

W tym triumfie wszystkiego, co jest jeszcze lekkie, wszystkiego, co jest jeszcze wesołe, zapominamy o rzeczach bolących i ciężkich. Zasunięte w najciemniejsze kąty przeczekują cierpliwie. Mają czas, przyjdzie przecież i na nie kolejka.

Ach, nie wiem nawet, czy lubisz te chwile, czy zdajesz sobie sprawę z tego wirowania rozpylonej szczęśliwości dookoła, z radosnego przelotu go-

dzin. Z tego ostatniego już chyba najprędzej, bo zawsze ze zdziwieniem wyjmujesz potem zegarek... Ale zaraz pewno sobie tłumaczysz, że zwykle tak bywa w rozmowie?

Nie, nie bywa tak zwykle.

Gdzie kto widział, żeby czas tak uchodził przez drzwi i przez okna, wysypywał się prędko, jak piasek z przedartego w kilku miejscach pudełka? Żeby się go zostawał tak malutki, tak niesłychanie drobny okruszek?

Tem jaśniej to widzę, że mogę porównać te szybkoconogie godziny do tych innych, stąpających ciężko, których niechętnego odejścia wyczekuję z pewnością, że następne muszą być lepsze. Mówię sobie, że muszą być takie, bo nie mogą już przecie być gorsze.

Ale i te chwile nie są najlepsze.

Najlepsze są wtedy, kiedy nic się nie mówi. Nasłuchuje się, patrzy — nie widzi. Mocny szepc regularnego tętna naszych dłoni równo odmierza taktę dla milczenia, które wszystko, co się da tylko zatrzeć — zaciera, co się nie da — przekreśla, milczenia, które wszystko opłaca ryczałem. Czas już wtedy nie płynie. Kolorowa godzina staje w miejscu promienna, klarowna.

Jest to moment pełnego oddechu.

! Takie widzisz są moje radości — nie mówiłam, że list będzie wesoły?. Dobrze wiem — i ty wiesz, że mi jednej w nich braknie, tej właśnie co jest najważniejsza: szczęścia roboty, a po niej rozkoszy zmęczenia i znów wypoczynku, powolnego napływu nowych sił, nowej energii.

W tem miejscu tkwi punkt mojej krzywdy — niema przecież żyjącej istoty, któraby tego prawa do tej rzeczy nie miała. Wcale nie mam na myśli przysłowiowego mrowiska i ula, ani także fachowych kieratów. Ale doszłam już prawie do tego, że rozdroszczę drobnym pączkom pomarszczonej zieleni pierwszych zwycięstw w ich marcowej robocie.

Tej to właśnie radości wciąż się domagam na próżno.

Prosiłam już Boga o pomoc i ziemi. Bóg może wszystko, a ziemia bardzo dużo w tych miesiącach. Ale widać nie mogą, czy nie chcą. Więc choć Tobie musiałam się na nich poskarżyć. Dlatego wszystko to piszę. List chyba jest jeszcze wesoły? Ale ty się nie przejmuj i nie myśl nad sposobami ratunku, bo będzie to próżna wędrówka po obwodzie koła i ciągły powrót na to samo miejsce.

A przede wszystkim nie myśl o tem za dużo, ani broń Boże, wieczorem. Na noc weź proszek i postaraj się zasnąć odrazu. Nie baw się też w galanterję i odrazu nie dopuść do siebie myśli o mnie i o tem co będzie.

Wtedy może dasz radę: pierwsza myśl będzie słaba i wąta, łatwo też da się odstraszyć. Następna już będzie silniejsza i natarczywiej się będzie domagać uwagi. Jeszcze dalsze zupełnie się mogą ośmielić i opadną cię całą gromadą. Wtedy już nic nie poradzisz.

W poruszone, nabrzmięte, wzburzone, ociekające litością serce ból się werznie najostrzejszą z swoich krawędzi.



M. DRUCKA

JEJ DRUGI MAŻ



nowu zapomniałam, że jesteśmy po imieniu, nie widziałyśmy się tak dawno. I znowu, jak kiedyś, trochę krępowało mnie to, trochę bawiło.

Gdy kobiety, o różnicy piętnastu lat, mówią do siebie „per ty”, szukam specjalnej, ukrytej przyczyny, tego zwykłego napozór zjawiska i jestem odrobinę zażenowaną za tamtą starszą.

Helena przyznaje się do czterdziestu lat, może ma jeszcze kilka... Obowiązkiem ładnej kobiety jest ukrywanie swoich lat, to też nikt jej nie ma tego za złe.

Helena jest niebieska. Ma szafirowe oczy, a białe ręce, pokryte siecią drobnych niebieskawych żyłek, przypominające rękojeści staroświeckich noży z kości słoniowej, do rozcinania książek. Złożone są często ruchem bezwładnym, na błyszczącym jedwabiu szafirowym jej wymyślnych sukien.

Włosy ma bardzo czarne, a chociaż dziś nosi krótkie, to jednak zdaje mi się, że widzę jeszcze jej długie do kolan sięgające warkocze, gdy je z taką niechęcią plotła na noc...

Nie widziałyśmy się tak dawno.

Wolę ją taką, jak teraz; ta czarna, żywa fala, otulająca jej wąskie plecy, miała w sobie coś zwierzęcego.

Opowiadano o tem różnie, o tych jej niezwykłych włosach i wogóle o niej samej.

Smutno, że mówić wolno o wszystkim, że nie ma rzeczy niezwykłych, bo przepuszczone przez filtr czasnych umysłów i plugawych ust ludzkich, maleją, robią się bez znaczenia, tem ostrzejszy sprawiając ból.

Tak to było zaraz po jej rozejściu się z mężem.

Dziwne to było małżeństwo. Mówiono o nich tyle. Helena nie miała dobrej opinii, bo skoro o kimś mówią...

Kobiety, o których nic się nie da powiedzieć, są zawsze cnotliwe. Tak sądzi świat, to dziwne, co raz bardziej niesforne zbiorowisko ludzi.

Tamten Rumun wcale nie był z najlepszego towarzystwa. Nosił dobrze frak i umiał mówić o polityce, był przyjęty.

Pokochał Helenę. To było wiadome, reszta...

Czytałam kiedyś o tem u Leńskiego, nie sądziłam, żeby to się mogło naprawdę w życiu zdarzyć; pisarze rosyjscy piszą o rzeczach najbardziej nieprawdopodobnych, jak gdyby opisywali zachód słońca.

A więc Rumun zakochał się we włosach Heleny. Obciął ją w chwili uniesienia i rozpacz, obciął nierówno, brzydko, bo nie u fryzjera przecież, a Rumuna wyrzuciła za drzwi. Tak opowiadał ktoś życzliwy Helenie.

Wiem już, to było pięć lat temu.

Helena wzięła mnie za rękę, siedziałyśmy na kanapie.

— Pozwól, że ci przedstawię — mój drugi mąż.

Trochę brzydszy, trochę niższy, lecz cóż za podobieństwo do tamtego! Jak Helena dziwnie powiedziała — mój drugi mąż — poco?

Spostrzegam ciemne brwi, pochylone nad moją ręką, musiał ściągnąć je mocno, przed chwilą.

Obejmuje lekko i wysuwa naprzód młodzietką panienkę, w różowej gazowej sukience, z rozwichrzoną jasną czuprynką.

— A Kocię pani poznaje?

Córka Heleny. Mój Boże, jakżeż urosła, zmieniła się. Przyciągam ją do siebie. Podstawia mi policzek. Całuję.

— Ale nic, a nic nie jest do ciebie podobna — zaznaczam, bo zawsze trzeba coś o tem powiedzieć.

— Mówią, że Kocia jest do mnie podobna — śmieje się „drugi mąż” i patrzy na Helenę, — czyżby mi się zdawało — złośliwie.

— Gdzież tam — pada między nami ostry głos — Kocia jest podobna do ojca.

— Tak, naturalnie, bardzo — odzywam się niewyraźnie.

Kocia wygląda na znudzoną.

— Michasiu, chodźmy tańczyć.

— Kocia mówi do Michała po imieniu, tłumaczy mi moja niebieska przyjaciółka, gdy tamci odchodzą i owija się w lekkie, przypominający północne letnie niebo, szalik — między nimi jest tylko dziesięć lat różnicy. Tak, pomyśl, o tyle jest młodszym odemnie. Kocia szalenie kocha ojca, uważam zresztą za swój obowiązek podtrzymywać w niej ten kult... a z Michałem są w przyjaźni. Cieszy mnie to — kończy bezbarwnie.

Przy kolacji siedzę obok pana Michała, a chociaż jest bardziej zajęty sąsiadką z prawa, słucham uważnie słów, niedbale rzucanych przez, zaciśnięte nad szerokim kieliszkiem, usta.

— Tak — pan Michał mówi raczej, „tek” i to mnie drażni, — mieszkamy stale u siebie na wsi. Sąsiadka z prawej strony pyta go o coś. — A no tak — tym razem „A” brzmi wyraźnie, — w majątku mojej żony.

Żnów spostrzegam brwi, które wolno się rozchodzą, by wrócić na swoje miejsce i cienką, prawie prostą linią spocząć nad bezbarwnymi, dużymi oczami.

— Pan lubi wieś, gospodarstwo?

Pan Michał przedstawia długimi palcami kieliszki, umieszczając je w jednym rzędzie.

— Tak, szalenie lubię konie, sport. Jeździmy prawie codzień z Kocią. Pani pojęcia nie ma, co za amazonka z tej małej, na koniu jest wprost niezrównana. Olbrzymia siła i wytrzymałość w tej drobnej istocie dziwnie się łączy z dziecięcą niemal gracją.

Pan, zdaje się, żywi wielką przyjaźń dla swojej pasierbicy? — pytam, chcę by usiadł prosto, bo jest zanadto zwrócony do mnie. Poza tem pan Michał jest bardzo korekt, il est bien.

— Pani jest zbyt spostrzegawczą — mówi i pije czerwone wino bladymi wargami, a gdy stawia kieliszek tajemniczy (ach poco tajemniczy) uśmiech błąka się w kącikach ust. Tak szybko odebrał mi przyjemność badania i domyślenia się. Szczerłość jest dobrą tam, gdzie wszystko jest wiadome, w przeciwnym razie obowiązuje do milczenia i przeszkadza narodzinom zawiłej, ciekawej, natchnionej plotki.

Stół nakryty starannie, zastawiony niepotrzebną ilością szkła, wazoników z kwiatami, podstawek, solniczek, w połowie kolacji wygląda, jak ceremo-

njalne towarzystwo, które nareszcie się rozruszało. Wpływa to na siedzących przy stole. Teraz dopiero rozmowa staje się ożywiona.

Pan Michał chce teraz mówić tylko do mnie.

— Pani jest dziwną kobietą. Panią interesuje otoczenie, mnie nigdy, pani bada ludzi, ja ich nie widzę. A propos, czy pani wie, że moja żona, dziś po raz pierwszy od sześciu lat spotka się tu z moim czcigodnym poprzednikiem?

— Księżę Konstanty?

— Tak, będzie tu po kolacji, obiecał prowadzić kotyljona.

Gentleman tak się nie powinien uśmiechać. No tak, pan Michał pił bardzo dużo.

Przechyla się przez swoją sąsiadkę z prawej strony i szuka kogoś na końcu stołu.

Ide za nim oczami. Rozwiczrzona, jasna czupryna kiwa się uprzejmie. A potem błyszczy szafir sukni Heleny i niebieskie cienie jej twarzy ciemnieją. Jaka ona smutna.

Wstając od stołu, pytam pana Michała, przecież powiedział mi już tyle.

— Czy panu to nie przeszkadza, że Kocia jest taka podobna do ojca?

Z dobrotliwym nieswoim uśmiechem odpowiada:

— Skoro mi nie przeszkodziło, że dziwnym zbiegiem okoliczności sam jestem do niego podobny...

I zaraz potem Helena podchodzi do mnie. Tak dawno nie widzieliśmy się, skąd ja w jej życiu?

— O czym mówiliście, o Koci?

— pyta nerwowo. Ponieważ nie przeczę; uspakaja się odrazu.

— Podobno księżę ma być dziś tutaj?

— Obiecał wpaść po kolacji. Kto ci mówił Michał? Chciałam zrobić to dla Koci, by wiedziała, że darowałam mu. Ubóstwia go, dla niej będzie to prawdziwe święto. A mnie doprawdy wszystko jedno. Mój drugi mąż jest taki dobry dla mnie.

— Ach, gdybyś wiedziała, przerwała sobie Helena, a czy zrobiły się fioletove — jak strasznie, jak bardzo cierpiałam, gdy mnie rzucił, bo to on, nie ja, jak opowiadali moi najzyczliwsi. Prostu wyjechał, powiedział służbie, że nie wróci... Jakie szczęście, że go już nie kocham. Tak, Michał jest inny, jest dobry, kochamy się, a przecie sześć lat temu nie wierzyłam, że jeszcze będę szczęśliwą. Dziś, wierząc mi, spotkanie z księciem nie wzrusza mnie bardziej, niż pozółkła fotografja, która wpadnie przypadkowo do rąk i przypomni dawne czasy.

— Mówią, że mój drugi mąż jest podobny do pierwszego. Czy uważasz? Przecie księżę jest znacznie wyższy i, bądźmy sprawiedliwi, o ileż ładniejszy. To dobrze, że Kocia lubi ojczyma, to mi ułatwia życie. Wybacz, że cię zanudziłam moimi sprawami, zaraz będą tańczyć, idź...

Chwyliła mnie mocno, aż do bólu, za rękę, głowę wtuliła w ramiona, a potem odrzuciła w tył; nie była niebieska, lecz biała, o granatowych cieniach pod czarnymi oczami. Przezroczysty szalik spadł z ramion, wydawał się szarym.

— Mój mąż.

Obejrzałam się. Nad ręką pani domu schylał siwiejącą głowę, olbrzymi, piękny, zawsze uśmiechnięty i niedbały, księżę Konstanty.



WŁADYSŁAWA JANKOWSKA

WICHRY GO ZWIAŁY...

2

— Chłopczy! — przerwał milczenie Michał. — Zostaniemy przez jutro, bo myślę, że z telom du-jawicom niema co figlować, albo nam to źle? Trzech wybranego chłopca, to se on ostatni dzień starego roku poświęćmy po kawalersku!

— Juści, niewiadomo, czy sie bez noc ozgajda — przywórtzył nieśmiało Wojtek, a z pod oka spoglądał w rozżoconą od ognia twarz Jędrka. — Moge zostać, moge iść...

— Ano, tak mi mów! — krzyknął Michał z zadowoleniem i znagła zaśpiewał fałszywym głosem z głębin brzucha:

„Śpi bieda, niewola jom budzi
śpij biedo, śpij jesce“..

— He? nie widzi sie wam?

Jędrzej pilnie zgarniał kosówkę na ogień, strzegąc się spojrzeć na towarzyszy, żeby go w rozmowę wciągnąć nie mogli.

— No?.. Jakoż to będzie Jędrus? — zapytał Michał obcesowo. — Kie kurniawa ¹⁾ nie popuści, to społem ostaniemy?.. I cóż?

Zapytany podniósł głowę z zaciętą zmarszczką na czole.

— Nijako nie ostanę, a wy bezemnie jako chcecie — odburknął przez zęby.

Wojtkowi uśmiech przeleciał po świeżych wargach, głowę szybko opuścił i koło fajki manewrował, ale Michała gwałtownie ogarnął, ręce w kieszenie spodni wsadził i z jadowitym, a pełnym politowania uśmiechem przyglądał się Jędrkowi. Niesamowita chwila milczenia zaległa szalas, tylko ogień głośno buzował, z hukiem głośnym pękały drwa grube, a roje złotych iskier gasły w gęstym dymie, wracającym do wnętrza pod naporem wiatru.

— To w dolinach telo holofi²⁾, a co sie musi wyrabiać we wirchach... — ozwał się Wojtek, nie mogąc już znieść naprężonej ciszy.

— Wiecie, co wam rzeknie Michał Jastrzab, stary raubsic³⁾? — gruchnął, niepanujący nad złością Michał. — Żeście oba wsiaki dólskie⁴⁾, parobczycie się wielce we wsi i na izbach przy dziewuchach, a ja wam powiem, że ino chłopów babrzeciel.. Gdzie wam do raubsicki, gdzie... Po karczmach się bić i o dziewczęta wadzić, tu was masz! Strach was obleciał, żeby nas strażniki nie wypatrzyły, to przez-

¹⁾ zadympka, ²⁾ hałasować, ³⁾ kłusownik, ⁴⁾ mieszkańcy dolin.

— Śmiałem się, bo mądrze mówił. Aż tu raz ide ku jego chałupie, ale ino pod szope, żeby mnie gaździna Tomka nie widziała, bo mnie nie miała wielce rada... A Tomek woła na mnie z izby, że jego baba do swojej mamy odeszła i co mogła, to ze sobą wzięła. Hej chłopcy! było też to używaniem.. Całą zimę przesiadeliśmy w kompanji na kwaterze u Tomka, który co wieczora zbójnickiego z uciechy tańcował, tyle sie radował swojej wolności. Ino że sie to skończyło z wiosną, bo baba sie niespodziewanie wróciła, z izby nas wygnała, jeszcze z cebra pomyje wylała za nami i pięknemi słóweczkami na drogę pożegnała. Zaś Tomek n'edługo z żalości pomarł, bo nie mógł chłopisko zdzierzyć onego kryminału.

...Tak to wej bywa, he?.. Spróbujcie i wy... No, czas spać, bo to niewiadomo, jako jutro będzie. — I gruchnął na sprężyste leże z głośnem poziewaniem.

Ze sześć godzin było, kiedy się Andrzej obudził i z szałasu wyszedł, otwierając drzwi na siłę, gdyż prawie do połowy wysokości były zasypane śniegiem, ale prędko się cofnął z powrotem, taki lęk wypadł na niego z głuchej, przytajonej ciszy, dyszącej w gęstym mroku. Zamysłony i niespokojny usiadł przy tlejącem ognisku, reszki żaru rozgrzebał, dokładając doń suchych gałęzi. Wesoły ogień zasyczał i płomieniem wzbił się w górę.

...Nic dobrego w onej ćmie... — mruknął, splu nąwszy na bok z pasyą. Nawet jeść mu się odechciało i torbę z niechęcią odłożył. W tej chwili Michał z Wojtkiem podnieśli się, pytając o pogodę.

— A idźcie, uwidźcie sami; śniega naprało i cicho. Widzi mi się, że chmury aże na ziemię się opuściły — ozwał się Jędrzej i z gorzkim wyrzutem spojrział na Michała.

— E, dy nas, nikt stąd nie goni.

— Zaś siedzieć jak w jakim hareście, to tyż żadna uciecha—rzekł Wojtek pojednawczo, przygryzając chleb ze słoniną.

— Ja ta idem — przemówił krótko i stanowczo Jędrzej.

— Ano, to sie bierzmy — mruknął zgęębiony Michał. — Obręcze na nogi, dobrze sie odzrać i w drogę.

Objuczeni kozami wyszli z szałasu i przepadli w lesie, zastygłym w nieruchomości.

Na wschodzie poczęło szarzyć i żółcić, chwilami wiatr spadał od wirchów w dolinę i z nagłą się przytajał, by sie niespodziewanie rzucić na głębie leśne.

Michał rozglądał się dokoła i z twarzą surową i ściągniętymi brwiami, starego górskiego wygę ogarniał coraz mocniejszy niepokój. Ten wiatr dzisiejszy, jakiś duszny, nasiąkły mgłą i „miękki“ po wczorajszej zadymce, nie wróżył mu nic dobrego. Po chwili przystanął i szturknął Wojtkę, idącego przed nim i głową mu wskazał na pomrokę ponad Terjańskimi Stawami.

— Pożryj ino, co stam stela⁵⁾ idzie! — Wojtek spojrział i zaklął głośno, gdyż wiatr z nagłem szczeraniem rzucił w doliny tumany świeżego pyłu i trzech kłusowników w sobie pochłonał. Dopiero na przeraźliwy gwizd Michała w jedno miejsce się zesłi.

Teraz jeden za drugim szli powoli, wznosząc się w górę i zapadając w miękkie zasy pomimo śnieżnych obręczy. Wznoszące się z każdą chwilą fale wichru huczały i wyły, miotając kamieniami w źlebach i piargach. Osłepieni i wyczerpani borykaniem się z wichurą posuwali się coraz wolniej z jakąś dziką zaciekłością.

— Ino z lasu, z doliny!... — krzyczał Michał, bo co chwila tracił ich z oczu, rozdzielany od nich nieprzejrzaną ścianą śnieżnego pyłu.

— Chłopcy! — Zawył z nagłem przerażeniem, chcąc przekrzyczeć huk i świst jęklawy wiatru. Ale mu żaden głos nie odpowiedział, aż na [przeraźliwy gwizdek któryś odezwał się z pobliza.

A wichura rosła z chwili na chwilę, w szarżących tumanach śnieżnych błysnęło żółte światło, niby okrągłe oko, ziejące nieubłaganem szyderstwem.

— W uciekacza! chłopcy!... na bok! dołu!... — zaryczał Michał i w jednej chwili rzucił się na bok zjechał po śniegu i zapadł się w jamę po piersi... Lawiny poleca, już po nas... Każ są tamci?... My ślał z rozpaczliwym spokojem, próbując się z dziury wygrzebać. Ale nowy huragan z piekielnym hukiem, z nieprzebitą chmurą lepkiego śniegu osłepił go zupełnie... Śmierć idzie.. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... ratujże tamtych, ja się nie przeciwie..

I ta myśl była ostatnią Michała Jastrzęba. Lawina śnieżna w błyskawicznym pedzie przywalała go i pogrzebała w sercu wirchów wraz z całym szmatem lasu zmiecionym ze zbocza.

Długo jeszcze Wojtek z Jędrkiem wspominali ów wieczór, kiedy im Michał o swoich przeczuciach opowiadał.

(koniec)

1) dowódca, 2) wierzchnia odzież, 3) pazury, 4) ostatek
5) rozmalcie, 6) dziewczyna, 7) powiedzenie, 8) stamtąd.

JANINA PRZECLAWSKA

L A T O

III.

Lato rozpostarło się nad stolicą, błękitne, słoneczne.

W cichem powietrzu krążyły aeroplany, na brzegach wiślanych pełno ludzi.

Z wielkich okien magazynów kwiatowych wyglądają sno, y róż, gwoździków, przepyszne barwami i kształtem. Całe klomby leśnych, polnych i ogrodowych kwiatów zdobią każdy skręt ulic. Śmieją się różnokolorowe groszki, kampanule i skromne

dwoneczki, liljowce i chabry patrzą z głębokich koszów i wiader z wodą, przywołując widoki jasnych pól i ogrodów, gdzie kwitną i pachną codzień świeże Wacław zatrzymywał się przy każdym koszu, każdy kwiat przyciągał i coś przypominał.

Widział się małym chłopczykiem na olbrzymim sianokosie.

Leży i patrzy w niebo. Wiejskie dziewczęta przechodzą z bukietami dzwoneczków i swawolnie rzu-

jego pragnień i dla niego wzbudzi tę moc męską, hartowaną w serdecznym uścisku kobiecej dłoni, że rany się zabliznią przez głębokie, wnikające spojrzenie: oczu przyjaciela-kobiety, słodkiej, mądrej i wiernej.

Przesuwała się przed nim spokojna, dobra twarz Małgorzaty i tkliwe, opiekuńcze ujęcie ramion, w których tuliła dziecko, to znowu dalej, dalej jeszcze miła główka Stefy, pogodnymi



usty przyjmująca obowiązek, jako prawo życia.
— Lato—lato ludzkości—myślał—w lecie wszystko łśni w gorącu, niepomierne oszalałe, pławi się w słońcu rozkoszy, burzy się, dojrzewa. Ognie lata się przepala!

Czuł i widział przez mgłę uczuć przelaną, jak rosną, dojrzewają i krzewią się bujne owoce rozważającej, zlotodajnej jesieni. (koniec).

Z. REUTT WITKOWSKA,

KRYSTYNA ROSSETTI

(1830 — 1894)

„Krystyna Rossetti? — co to jest Krystyna Rossetti?.. żona tego malarza?” pytają u nas, bywa. do dziś, zawodowi literaci. Mniejsza narazie o parantelę: Krystyna Rossetti, najgłębsza w Anglii twórczość kobieca w ubiegłym stuleciu, mocny i czysty duch. Siostra znamienitego malarza, Gabrijela-Danteo Rossetti, apostoła kierunku w malarstwie, zwanego prerafaelityzmem. Szerszemu kołu czytelniczek powie to; zapewne, więcej, nazwisko Burne Jones'a, który wiele pięknych, a bardziej rozpozszechnionych rzeczy stworzył, podejmując, obok Rossetti'ego i jego towarzyszy, tradycje sztuki malarzkiej takiej, jaką była przed Rafaelem u Fra Angelica, Giotta; Rafael, wedle prerafaelitów, szablonem swej doskonałości zabił inicjatywę, szukającą nowych dróg.

Dante-Gabriel nosił też imię Charles a zawdzięczał je drugiej swej ojczyźnie. Gabriel i Krystyna, William-Michael, pisarz, Marja-Franceska, zakonnica, niemniej zajmująca się literaturą, byli dziećmi włoskiego emigranta, Gabrijela Rossetti'ego i Franceski Polidori, którą jednak matka Angielka wychowała w tradycjach protestanckich. Tradycje te z kolei przekazała Franceska czworgu swoich dzieci.

Nie są, oczywiście, bez znaczenia dla ukształtowania się psychiki poetki ani silna przymieszka krwi włoskiej, ani środowisko artystyczno naukowe, w którym wzrosła, ani owa religijna tradycja. Przynależność rasowa na długich też waży pokoleniach. Wydaje się ta śniada, czarnooka, na Angielkę wychowana Włoszka, złotą słoneczną mimozą, którąby hodował kto, mordował za czystą szybką podmiejskiego dworku, a za szybką od szarzyzny nieskończonych mgieł wyspiarskich tłoczno. Odczucie to rzetelnem okaże się o tyle tylko, o ile podkład elegijny, skłonny do zadumy bezprzestannej nad tajemnicą śmierci, przypiszemy w niejkiej mierze tej właśnie podświadomie dźwiganej niedoli braku błękitu, hojnych w blask słoneczny.

Bo zresztą dobrze było dziewczynce, rosnącej między bladymi północnymi różami ojcowego dworku w Holmer Green. — Ojciec zajmował się belferką, literaturą—Włoch rzetelny, rozmiłowany w Dan'em, wielkim wygnańcu Florencji. Schodziła się kolonja włoska u Rossetti'ch; żywym dyskusjom przysłuchiwała się przedwczesnem skupieniem wewnętrznem poważna dziewczynka. Ojciec pochodził z rodziny, która przez ciąg pokoleń wydawała różnej miary pedagogów, artystów. Takie też dziedzictwo—coś

znaczy. A położyć tu należy zwłaszcza nacisk na zainteresowania pedagogiczne. Pedagog z powołania pogłębia swą wiedzę o duszy ludzkiej. Rozwijając jej władze patrząc wciąż na bujny, tajemniczy rozkwit sił duchowych, musi uwierzyć w postęp, a tem samem w celowość wysiłku, w Dobro i Prawdę, a czasem i w Opatrzność Moralną. Wiare zdobywa czynem.

Krystyna Rossetti jest poetką Dobra i Prawdy. Na przekór szarej, ciężkiej rzeczywistości jest nią.

Co jest ciężkiem? smutek i piaski morza.
Co jest krótkiem? dziś i jutro na świecie.
Co jest kruchem? młodość i wiosny kwiecie.
Co głębokiem? ocean, Prawda Boża.

W tłumaczeniu dodany epitet Boża — przy Prawdzie. Bóg Krystyny jest Bogiem Prawdy (O my God, Thou God of Truth!); Prawdzie tej Miłość na imię (Love, my truth that doth not lie!). Życie całe, twórczość cała jednym jest do głębi duszy idącym westchnieniem tęsknoty za tym Bogiem Prawdy, Miłości. Za Chrystusem.

Poetka Chrystusowa. Coś w niej ze średniowiecza: seraficka miłość ku stworzeniu, franciszkański poryw ku Niebu. Jest protestantką. Ale pamiętać trzeba, że anglikański presbiterjanizm (high church) o włos jeno katolicyzmu odstąpił: bogata liturgia, coś z kultu świętych, a nadewszystko wiara, że w chlebie ołtarza Bóg Żywy dla żywych. — Są tam i klasztory. Marja-Franceska była zakonnicą—anglikańską; Krystyna zaś anglikańską... tercjarką. Tercjarka: oschła, ograniczona dewotka bezmyślnie klepiąca pacierze i pilnie patrząca wciąż rachunku sumienia — swoich bliźnich; lub, jeszcze gorzej, historyczka, co pije choć woń kadzideł kościelnych, by nasycić głód siedmiu grzechów. Nie myślimy szablonem!

Poetka tercjarka. — Co więcej, nie waha się Krystyna zwać siebie Oblubienicą Królewską (wiersz Po komunji), oblubienicą, rozmiłowaną w Panu modlitwą pracą i bólem, „krzyżem, dźwiganym długo“ (Ty, którą Kocham...). Wiersz Advent kończy się parafrazą słów Pieśni nad Pieśniami: wstań, piękna moja, oblubienico moja, pójdz.

Nie jeden wiersz Krystyny Rossetti nosi tytuł Advent. Życie jej wewnętrzne, co zależało zarówno od przyczyn zewnętrznych, jak od zaznaczonych już skłonności duchowych, życie jej tak się ułożyło, że zdaje się prawdziwie „adwentem“ jakimś, porą cze-

kania długiego, cierpliwego, a tak bardzo nieraz cierpiącego czekania na wielkie Narodziny Światła: na Dobrą tę Śmierć, „słodką“.

Między wierszami jej pełno kolend. A są też wiersze takie, które dzisiejszemu czytelnikowi osobliwie przypominają liryki, tej tak modnej w chwili obecnej, „małej“ św. Tereski od Dzieciątka Jezus. (Kto ciekaw, proszę ją czytać w oryginale!). Podniosę oczy swoje ku wyżynom: Podzwania wiersz ten imieniem Jezus w ładnie zbudowanych strofach. Przyjdź, Jezul pokrzep mię, wzrośnij we mnie! modlą się tży piękne zwrotki Zmar-

twychwstania. Wysłuchać musi Ten, Który trzciny nadłamanej nie złamie, gdy nadłamała ją wola własna, oporna Łasce. Bo choć zda się i Krystyna Rossetti pośród świętych zeszłego wieku, czyż każdej chwili zdobyć się może serce — z najcichszych i najpokorniejszych — na taką prawdę o sobie:

Kiedym zdrożona, słaba, Wola w tem snadź Boska.
Boska zaś Wola dobra, bezpieczna jedynie:
Ze zniekania swojego mir swój przeto czynię,
I pełnością się stawa niedostatku troska. (c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

11



onie raz bez takiej właśnie armji nie mogła sobie wyobrazić zwycięstwa, zatem uwierzyła odrazu, że będzie ją miała. Była to wiara, która góry przenosi — był to olbrzymi rzut woli i on to, w ciągu kilka dni zaledwie, przekształcił do niepoznania duszę wojska, zgromadzonego w Blois. Sam widok tej kryształowo czystej dziewczyny, tak skutecznie, a cudownie płoszącej wszelkie grzeszne myśli, jak święcona woda oddalała w owe czasy złego ducha — samo przeświadczenie o jej misji anielskiej musiało już działać podnosząco. Lecz ona nie poprzestaje na tej biernej roli: rzuca się do walki z wuzdaniem żołnierskiem tak, jakby miała przed sobą najgorszego wroga Francji. Ogłasza uroczyście banicję wszelkich nierządnic z obozu, zakazuje uczt i gier hazardownych, rzuca hasło szanowania cudzego dobra, nawet na wojnie.

W dziwacznej, umyślnie a — historycznej miejscami, książce Delteil'a, najmniej chyba fantazji, a wiele piękna zawiera ten obraz Joanny, jak idzie przez nocną orgję pijanego obozu, „niezkalana, a straszliwa“, obalając stoły biesiadne, rozganiając graczy, płazując półnagie kobiety, samym wzrokiem przegwałdzając do ziemi bluźnierców.

Między tych zabójców, olśnionych widokiem jej natchnionej modlitwy i komunji, rzuca wezwanie:
— Jednajcie się z Bogiem! boć grzesznikom niepokajnym nie będzie On pomagać!

Na jej rozkaz zgromadzają się codzien księża, śpiewając hymny, pod wielką, zdala dostrzegalną chorągwią z wizerunkiem Jezusa Ukrzyżowanego. Ta barwno-dźwięczna grupa przywabia i żołnierzy — ale dopuszcza się do pobożnego chóru tylko świeżo wyspowiadanych. I oto zaraz przed połowym konfesjonalem klękają całe rzesze wiarusów; z najzimniejszych nawet oczu leją się łzy skruchy. W ciągu trzech dni cała prawie 2 tysięczna armja otrzymała rozgrzeszenie, Ciało i Krew Pańską.

Joanna promienieje, zespolona teraz ze swoim wojskiem tym węzłem, który uważała za najważniejszy. Tak jest! było to jej wojsko,

bo zdołała weń tchnąć swego ducha — nie jest to kwestja formalności, ale faktu.

Zdaje się, że nie miała powierzonej sobie oficjalnie komendy — lecz przydana była wodzom, jako doradca „de par Dieu“; reprezentowała w armji czynnik natchnienia, miała opiekować się tem, co dziś nazywamy „morale“. W tym nieokreślonym trochę i niezwykłym charakterze mogła odegrać taką właśnie rolę, na jaką ją wewnątrznie stać było: mogła być biernem „porte bonheur“¹⁾, zbytkownym, a czcigodnym ornamentem — lub stać się naprawdę duszą akcji.

Chciano widocznie postawić ją wysoko w oczach żołnierzy, poprzez jej powagę zewnętrznym blaskiem, skoro z woli króla dobrała sobie liczną osobistą świtę²⁾ składało ją, prócz służby, dwóch szlachetnych paziów, dwaj bracia, Jan i Piotr d'Arc, nieodłączni Metz i Poulengy, rycerz d'Anlon i mnich Pasquerel. Może to jako wysłańca matki powitała go dziewczyna z wylewną serdecznością i uczyniła odrazu swym kapłanem, prosząc, by zaraz nazajutrz wysłuchał jej spowiedzi.

Nie rozłączali się odtąd nigdy.

Drugi taki absolutnie wierny towarzysz — to Jan d'Anlon, członek Rady królewskiej, przydzielony specjalnie do strzeżenia tej dziwnej istoty, związanej już nieuchronnie z imieniem i dolą króla. Powierzono mu pieczę nad nią w uznaniu jego odwagi, rozumu i honoru — zaufaniu temu odpowiedział godnie.



† JEZUS — MARYJA †

„Królu Anglji i wy, książę de Bedford, co się mienicie regentem królestwa francuskiego; wy, Wilhelmie de la Poule³⁾, hrabio de Suffolk, Janie panie de Talbot i wy, Tomasz panie Glasdall⁴⁾ ustąpcie Panu Niebios! Oddajcie królowi klucze wszystkich cnych miast, któreście zabrali i zniewolili we Francji. Przybyła tu Dziewica z rozkazu Boga, by się ujęła za krwią

¹⁾ A. France „Vie de Jeanne d'Arc“.

²⁾ Maison militaire.

³⁾ William Pole.

⁴⁾ Nazywa go zwykle: Glassidas — właściwie zwał się d'Escales.

królewską, — gotowa uczynić łącno pokój, jeżeli ustąpicie, oddacie francuskie kraje i nagrodzicie szkody, wyrządzone natenczas, kiedyście je dzierżyli.

A wy, łuczniaki, wojenni towarzysze, szlachta, możni i insi, coście są pod grodem Orleanem — idźcie do swojego kraju, toć jest rozkaz Boga, a jeżeli go nie posłuchacie, czekajcie nowin od Dziewki, która wam wrychle wyjdzie przeciw, na waszą wielką szkodę.

Królu Angljej, jeżeli tako nie uczynicie, to w jakim ino miejscu najdę waszych, wyżenę ich precz, z wola, czy bez woli — a nie posłuchają li, wszystkich śmiercią pokarze. Jam wysłana od Boga, Króla Niebios, by was wygnać z wszystkiej Francjej. Jeżeli wszelako usłuchacie, ostawię wam żywot. A nie trwajcie przy waszych zamysłach, albowiem królestwo francuskie, własność Boga, Pana niebieskiego i Syna Marji świętej — nie ostatnie cale w waszych ręku, jeno w ręku Karola, prawego dziedzica; Bóg tak chce i przez Dziewkę mu to objawił, jako w zacnej kompanji wyjdzie do Paryża.

Nie bądźciecie — li chcieć uwierzyć wieściom od Boga i od Dziewicy, a oddać nam co słuszna — to na jakim ino miejscu najdziem was, uderzym na waszych ludzi i uczynim tumult tak srogi, jakiego nie było od tysiąca lat we Francjej! I wierzajcie mocno, iż Król Nieba ześle Dziewce więcej sił, niżli potrza do odparcia napaści waszych przeciw niej i jej cnym wojownikom — a obaczym po ciosach, kto ma lepsze prawo: Bóg, zali wy!

Wy, księżę de Bedford, Dziewka was prosi i zaklina: nie przywodźcie się do zguby! Jeżeli jej przyznacie, co słuszna, to możecie jeszcze pójść wespół z nią tam, gdzie Francuzi dokonają dla chrześcijaństwa piękniejszych czynów, niżli były kiedy dokonane.

I odrzeczcie, zali chcecie uczynić pokój w grdzie Orleanie; jeżeli zasię nie uczynicie go, wspomnicie wrychle na wasze bardzo wielkie szkody.

Dan w Wielki Wtorek

Joanna — Dziewa.

Taki oto list wysłany został z Blois „do księcia de Bedford, mieniącego się regentem królestwa francuskiego, alibo do namiestników jego, przed grodem Orleanem stojących“.

Dyktowała go Joanna jeszcze w Poitiers, w chwili natchnienia, badającym ją teologom. Nie ulega wątpliwości, że musiał ich zastanowić ten ton władny, a pełen zarazem wewnętrznej świętości, ta myśl i odpowiedzialność woźdza, ten gest twórczy i proroczy. W owych słowach zawiera się cały program Joanny, treść jej misji. Bije z nich nie nienawiść do wroga, lecz szlachetne oburzenie na jego najazd. Zanim nań uderzy, wiedziona miłosierdziem chrześcijańskim wskazuje mu sama drogę ocalenia — powrót do własnego kraju — a nawet zarysowuje cudną perspektywę wspólnej wojny o grób Chrystusowy.

Był to jakby dalszy plan działania, dający światu jej idei tę szerokość przestrzenną, jaką mieć musi każdy genjusz, aby się nie udusić w realizacji. Struna ta dźwięczała śnać silnie w rycersko-polnej duszy dziewczyny, gdyż słycać ją w późniejszych odczłuchach jeszcze parokrotnie, choć zgłuszoną przez potężne nakazy chwili.

List „Dziewki“ przejął dumnych Anglików jakimś lękiem niesamowitym. Nie raczyli odpowiedzieć — daremnie jednak udawali lekceważenie, strach pokrywając szyderstwem. Wściekłość ich łatwo było poznać choćby z tego, że, wbrew odwiecznym we wszystkich krajach prawom wojennym, zatrzymali herolda Joanny i odgrazali się nawet, że go spalą. (c. d. n.)

Kobieta w świecie i w domu

ROZWÓD Z POWODU NIEDYSKRECJI.

Czytamy w „Le droit des femmes“ opis ciekawego procesu rozwodowego, jaki miał miejsce niedawno we Francji. Sąd musiał rozstrzygnąć następujące zagadnienie prawne: Czy mąż ma prawo otwierać listy żony bez jej pozwolenia i czy, w razie jeśli ten postępek pociągnie za sobą naruszenie tajemnicy zawodowej — żona ma prawo na tej zasadzie zażądać rozwodu?

Stroną skarżącą była niejaka pani Robert, doktor medycyny. Dowodziła ona, że jeszcze przed wyjściem zamaż prosiła swego przyszłego męża o nieprzeglądanie jej korespondencji, gdyż w przeciwnym razie nie mogłaby gwarantować swoim pacjentkom dotrzymania obowiązującej wszystkich lekarzy tajemnicy zawodowej. Pan Robert jednak był innego zdania. Uważał on, że mężowi przysługuje prawo kontrolowania wszystkich postępów żony, a więc i czytania jej listów. Przez kilka lat związku małżeństwa Robert żyło z sobą w ustawicznej kłótni z powodu tej różnicy zdań, wkońcu pani Robert, nie mogąc przekonać męża, skierowała całą sprawę na drogę rozwodową.

Po długiej rozprawie sądowej i patetycznych przemówieniach obrońców obu stron, z których jeden powoływał się na prawa męża jako głowy domu i patriarchalne tradycje rodzinne, drugi zaś występował w obronie praw kobiety, jako człowieka, sędzia wydał wreszcie wyrok przychylny dla pani Robert, udzielając jej żądanego rozwodu i orzekając, że tajemnica zawodowa lekarza musi być uszanowaną bez względu na to czy lekarz ten jest mężczyzną, czy kobietą.

NOWOCZESNY KONTRAKT ŚLUBNY.

„The Turkish Woman“, pismo kobiece, wychodzące od niedawna w Turcji, podaje w ostatnim swym numerze treść pierwszego nowoczesnego kontraktu ślubnego, zawartego przed kilkoma tygodniami według nowego prawa małżeńskiego, obowiązującego w Turcji. Małżonkowie, którymi byli: jeden z wyższych urzędników państwowych i młoda nauczycielka z uniwersyteckim wykształceniem — zobowiązują się do wzajemnego poszarowania swych praw i uważają się za całkowicie równouprawnionych w dziedzinie zarobkowej, wychowania dzieci

td. Oboje obowiązani są w jednakowym stopniu do pracy zarobkowej na utrzymanie rodziny. Mąż żonie, a żona mężowi, gwarantują najzupełniejszą swobodę w postępowaniu, wyborze zajęć, odpowiedzialność za własne postępy etc. Jedyne więzami, krępującymi oboje małżonków, mają być: poszanowanie świętości ogniska domowego i dbałość o dobro fizyczne i moralne przyszłego potomstwa.

KOBIETY — FARMACEUT. I

Statystyka zawodowa Stanów Zjednoczonych wykazuje w ostatnich latach olbrzymi wzrost zainteresowania zawodem farmaceutycznym u kobiet. Przed 25 laty istniało na całym terytorjum Stanów Zjednoczonych zaledwie 50 kobiet, aptekarek, obecnie zaś jest ich już zgórą dwadzieścia dwa tysiące.

DOWCIPNA ODPOWIEDŹ.

Nowe prawo małżeńskie, obowiązujące w Norwegii od r. 1919, nakłada na obie strony, pragnące wstąpić w związki małżeńskie, obowiązek przedstawienia świadectwa zdrowia. Celem uniknięcia ewentualnych usiłowań obejścia tego prawa, każdy lekarz obowiązany jest, w razie stwierdzenia u jednego z narzeczonych choroby zakaźnej, będącej przeszkodą do małżeństwa — natychmiast zawiadomić o tem odpowiednie władze.

Jedna ze znanych działaczek społecznych norweskich, której pewien cudzoziemiec wyraził zdziwienie z powodu tak ostrych i bezwzględnych ustaw, krępujących bądź co bądź bardzo dotkliwie ową wolność osobistą, którą narody skandynawskie tak się szczycą — dała następującą odpowiedź:

„W ojczyźnie pana, tak jak i we wszystkich innych państwach cywilizowanego świata, obowiązują ustawy, krępujące w niemniejszym stopniu wolność osobistą, a przecież nie dziwi ona i nie oburza nikogo! Mówię tu o ustawie, o powszechnym obowiązku służby wojskowej. Każdy mężczyzna, popowołany do wojska, musi się poddać badaniu lekarskiemu. Dlaczegożby ci, których państwo skazuje na ewentualną śmierć, mieliby podlegać bardziej surowym wymaganiom co do sił i zdrowia od tych, których zadaniem będzie — dawać życie nowym pokoleniom obywateli?“

Z. B.



DLA DZIEWCZĄT — DO CZYTANIA.

Anna Montgomery, „Ania z Zielonego Wzgórza“. Powieść. Przekład z angielskiego Bernsztajnowej. Wyd. Arcta w Warszawie 1921 r. Str. 355.

Na Zielonem Wzgórzu, na skraju osady Avonlea, stoi stary dworek, otoczony ogrodem. Mieszka w nim rodzeństwo Culbert. Brat, to nieśmiały, niezgrabny, odludek, i poczciwy do szpiku kości Mateusz. Siostra — to surowa i pełna niezłomnych zasad, poważna, choć ze skłonnością do wesołej ironji, sprawiedliwa

i zająca Maryla. Pracują ciężko na swym, odziedziczonym po ojcach, kawałku ziemi, jak wszyscy ich sąsiedzi, fermerzy kandydyscy, a że są już niemłodzi, chcą sobie zapewnić pomoc w pracy i sprowadzają z miasta, z Domu Sierot, chłopca, aby go wychować na przyszłego pomocnika.

Sprowadzają chłopca — a tu przez jakieś nieporozumienie przyjeżdża dziewczyna! Jedenastoletnia dziewczynka, chuda, rudowłosa i piegowata, Anna — sierota w „wyrósniętej“ burej sukience, i zaraz na wstępie prosi, żeby ją nazywano Kordelją, „bo Ania to takie prozaiczne imię,“ a ona lubi tylko „poetyczne“ imiona!

I w tej nieuwzględnionej przez prozaiczną Marylę prośbie mieści się cała Ania, która kocha wszystko, co jest „poetyczne“ i „romantyczne“, i nadbudowuje sobie szare i ubogie życie małej niańki u obcych ludzi, a potem wychowanki z Domu Sierot, wyobrażając sobie różne śliczne i wzniosłe rzeczy. Udaje się jej to znakomicie, bo ma wyobraźnię wprost niesłychaną.

Zaraz na wstępie pozyskała sobie, wcale o tem nie wiedząc, serce Mateusza, tego starego dziwaka, który, jak ognia, bał się kobiet i dziewczynek. Maryla chce naprawić omyłkę, odesłać Anię do Domu Sierot, ale po kilka dniach decyduje się zatrzymać ją u siebie, trochę przez litość nad „sierotą, której nikt nie chce“, a trochę dlatego, że i ona ulega czarowi tego dziwnego dziecka. I oto „Ania znikąd“ staje się „Anią z Zielonego Wzgórza“ — i wnosi w spokojne, pracowite życie fermerów masę poezji i wdzięku.

Żyje w ciągłym zachwyceniu. I tak się jakoś staje, że w sferze jej działania cała rzeczywistość dosięga poziomu, stwarzanego jej wyobraźnią; i rzeczy, i miejsca, które podziwiała Ania, owane są takim czarem jej zachwyczonej duszy, że nawet prozaiczna Maryla, nawet rozsądna mała przyjaciółeczka Ani, Djana, nawet pełna cnót gospodarskich sąsiadka, pani Małgorzata Linde — nie mogą się temu oprzeć.

Ania żyje sobie, jak w bajce, na tem Zielonem Wzgórzu. Wpada wprawdzie w krótkotrwałe rozpaczę i niejednokrotnie ma „złamaną duszę“, z powodu różnych nieszczyśliwych przygód, wywołanych jej roztargnieniem, ale świat jest za piękny, żeby mogła się długo martwić.

Książka jest napisana z wielkim talentem, a postać Ani przeprowadzona konsekwentnie i znakomicie. Niełatwe to było zadanie, bo kwestja jest rzeczywiście dość ryzykowna: jedenastoletnia dziewczynka, przemawiająca całymi potokami słów przesadnych, napuszonych i patetycznych, która pomimo to nie jest ani śmieszna, ani nieznośna, tylko przeciwnie, ujmująca i pełna wdzięku. Jedenastoletnia dziewczynka, która rzewnymi łzami płacząc nad swym sieroctwem i opuszczeniem, ani na chwilę nie porzuca górnolotnego stylu, i mówi, jak z książki — a pomimo to nie wygląda wcale na komediantkę, i budzi najszczerze współczucie! Przemawia napuszonym, sztucznym językiem, upaja się swojemi słowami — a pomimo to odczuwa się ją, jako do gruntu prawdziwą i szczerą!

Taką Anię niełatwo było „zrobić“ — a jednak „zrobiona“ jest doskonale.

Inne postacie, jak Mateusz, Maryla, pani Małgorzata — również są doskonałe. Atmosfera dziwnie szlachetna i pełna nieopisanego wdzięku. Życie w ślicznej Avonlei płynie tak, że aż czytelnik dziwi się, czyż to możliwe, żeby tak żyli, czuli, i mówili prości fermerzy z wyspy ks. Edwarda? A jednak nie wygląda to na przesadę. Przeciwnie: wynosi się wrażenie, że widocznie tak tam być musi — i jakże jest miło zajrzeć do ich świata, tak różnego niż ten, w którym my żyjemy!

Anna Montgomery, Ania z Avonlei. Przekład Bernsztajnowej. Wyd. B. Rudzki. Warszawa 1924. Str. 284.

Ania, jej koleżanki i koledzy, dzieci z Avonlei, ukończyły szkołę i przestały już być dziećmi. To młodzież samodzielnie pracująca, rozprawiająca o zasadach i ideałach, zarządzająca związkami, marząca o wyższych studiach, stypendjach, uniwersytetach. Na tem tle Ania dawna piegowata, ruda mała Ania, obecnie młoda, ideowa, pełna zapału nauczycielka w Avonleaskiej szkole. Jej górnolotny styl obniżył się o jeden stopień — ale pozostała dusza, żyjąca w ciągłym zachwyceniu.

Nie opanowała Ania swego roztargnienia, które wpędza ją w komiczne przygody, ale opanowała największą swą wadę, upajanie się własnym patosem, i brak prostoty. „Poetyczna“ Ania, stała się w gruncie rzeczy, konsekwentną, wyrobioną, wartościową, mądrą kobietą.

Całość pod względem artystycznym ustępuje nieco pierwszej części, mniej może ma wdzięku. Przedstawia natomiast dużą wartość pod względem społecznym i wychowawczym. H. B.



Mody i roboty



323

324

325



326.

327



328.

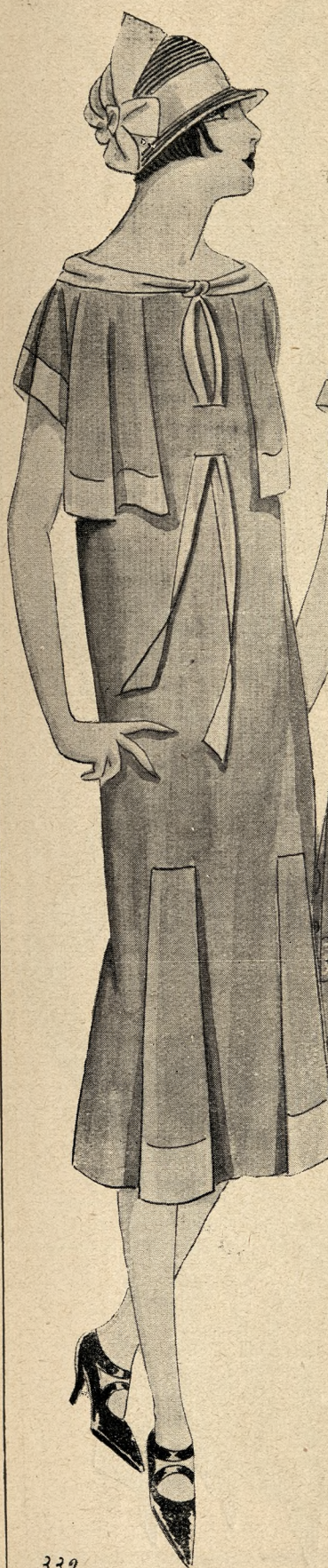


329.



330.

331.



332



333



334



336

337



335





338



339

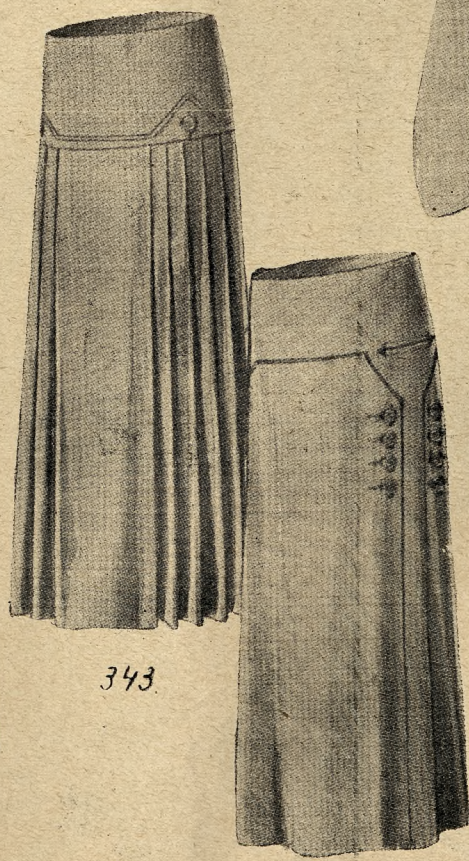


340



341

342



343

344



345

Wzór na serwetkę na szarem płótnie. Haft zakopiański.

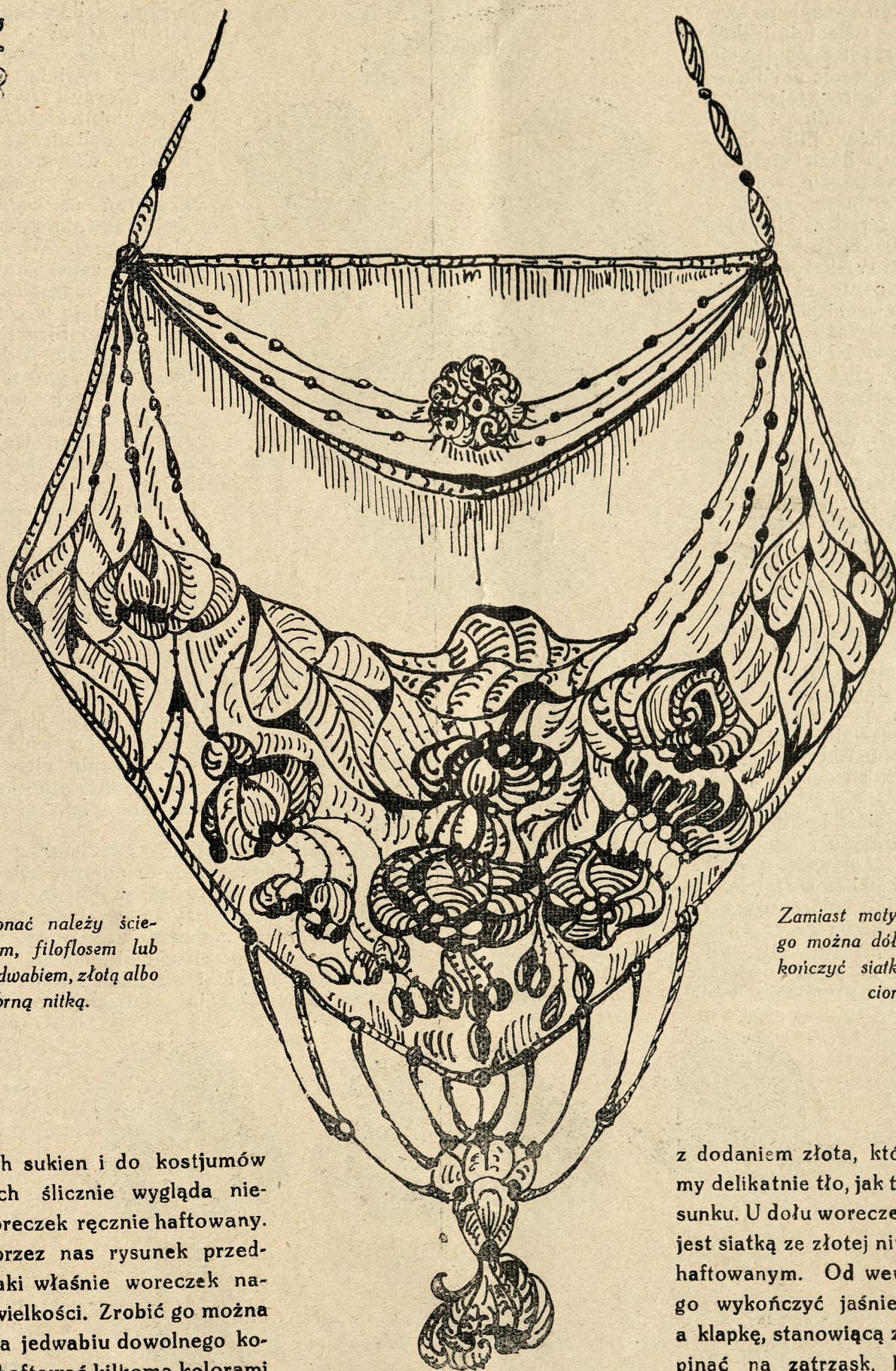


346

Kolory: ponsowy, szafirowy, zielony i żółty — obwiedzione czarnym.



WORECZEK RĘCZNIE HAFTOWANY



Haft wykonać należy ścięciem płaskim, filoflosem lub szluczym jedwabiem, złotą albo srebrną nitką.

Zamiast motywu haftowanego można dół woreczka wykończyć siatką złotą i paciorkami.

Do letnich sukien i do kostjumów wiosennych ślicznie wygląda niewielki woreczek ręcznie haftowany. Podany przez nas rysunek przedstawia taki właśnie woreczek naturalnej wielkości. Zrobić go można z kawałka jedwabiu dowolnego koloru i wyhaftować kilkoma kolorami

z dodaniem złota, którym zaciągamy delikatnie tło, jak to widać na rysunku. U dołu woreczek zakończony jest siatką ze złotej nitki i motywem haftowanym. Od wewnątrz należy go wykończyć jaśniejszą materją, a klapkę, stanowiącą zapięcie, przypinać na zatrask, lub guziczek

MODNE KAPELUSZE

Szyk wiosenny wymaga, żeby już w końcu stycznia kapelusz nosił charakter wiosenny. W ten sposób na prowincji wiosnę zwiastują jaskółki—w Warszawie piękne panie. Posłannictwo wcale pochlebne i poetyczne. Zatrważające jest jedynie tempo zmian i saltomortale sezonów. Filc w czerwcu, aksamit w lipcu i sierpniu, jedwab w listopadzie, słoma z georgette'ą w lutym, zaiste — przedziwna sałatka. Może się w końcu zdarzyć, że jakaś ambitna wytwornisia, chcąc *coute que coute* wyprzedzić swe współzawodniczki, tak się pośpieszy, że włoży... słomkową pasterkę w lecie, lub aksamitną budkę do futra. Nie wiem doprawdy, czy to jej będzie poczytane za dowód ekscentryczności, czy zacołania. Żyjemy w wieku ciągłych niespodzianek i nic nie można przewidzieć. Narazie również żadna z pań nie była tak odważną, aby przy fokowym okryciu przyozdobić główkę jasną słomką z pękiem wiosennych kwiatów. Nie mają u nas ludzie odwagi przekonań. Dyskretnie i z hipokryzją zdobyły wążuchne pasemka słomki brzegi georgette'owych i jedwabnych foremek. Łączono również słomkę z filcem, połączenie paradoksalne, które dało najniespodziewaniej kombinację zupełnie szczęśliwą. Oczywiście musi być kolor słomy bardzo starannie dobrany do koloru filcu. Słoma błyszcząca, filc matowy. Kapelusiki z georgette'y przybiera się płaskimi stylizowanymi kwiatami o barwach pastelowych. Ale, ale, w Paryżu nie mówi się obecnie kolor pastelowy tylko „couleur de dragées”. Dragées — są to drobne karmelki w kształcie jajeczek lub fasoli, są one wszystkich kolorów tęczy w odcieniach jasnych. Słowem: nie kijem go to pałką—nie mogąc stworzyć nowych barw, tworzy się nowe nazwy, aby handel szedł. U nas „couleurs de dragées” czekają z ukazaniem się na promieniu letniego słońca, narazie wolimy barwy spokojniejsze. Powoli przyjmuje się kolor zielony, na szczęście w mniej jaskrawych odcieniach. Ślicznie wyglądają kapelusiki koloru parme, bukietek parmeńskich fiołków przy klapie dopel-



nia harmonijnej całości. Do angielskich *trotteuse'ów*, bardzo modnych tej wiosny nadają się niewielkie kapelusiki z filcu, lub słomy.

Bardzo popularny jest kłoszyk wywinięty z tyłu. Główka tworzy z tyłu załamania czyli kontrafałdy. Wysokie główki cylindrowate znowu są modne, wszystko się powtarza. Jednym z najulubieńszych przybrań są wstążki: rypso-we, jedwabne *double face*, cieniowane. Wiążą się one w fantazyjne kokardy, marszczą w wypracowane rozety, lub układają w wachlarze.

Przy filcach charakterystyczne są, zabawne „zajęcze” uszy, umieszczane z boku, lub z tyłu ku przodowi, czasem sterczą oba do góry, czasem jedno idzie do góry, drugie w dół. Są przeważnie bardzo twarde. Nieraz przy główce filcowej, małe wywinięte rondko robi się z jedwabiu, zmiękcza to nieco znaną sztywność filcu.

Zawsze ładnie wygląda kapelusz, harmonizujący w kolorze z suknią i okryciem, niektóre elegancki, uważając

tę kombinację za „obnoszoną”, wolą kapelusz w tonie kontrastującym.

W każdym wypadku zestawienie barw musi być dobrze obmyślane, nie wolno robić zestawień przypadkowych. Czasem włożenie pierwszego lepszego ładnego kapelusza do pierwszej lepszej ładnej sukni może wywołać efekt zgoła tragicomiczny.

Zwycięstwo małego kapelusza nad dużym wydaje się ustalone, ale że na tym świecie wszystko jest nietrwałe, więc nie wyklucza ono prawdopodobieństwa, że ujrzymy w lecie wielkie malownicze kapelusze, ocieniające twarz i harmonizujące z jasnymi, powiewnymi sukniemi.

Tymczasem niektóre panie przechodzą na panującą modę, wciągając z trudem na ufrizonowane

główki maciupcie kapelusiki. Jeżeli jeszcze włosy są, jak nakazuje moda schowane, a twarz broń Boże okrągła i dość pełna, wygląda jak komprymowany pomidor. Stąd wynika, że stosować się literalnie



do ekstrawagancji mody mogą tylko uprzywilejowane, idealne piękności.

Istoty mniej doskonałe (co do powierzchowności) powinny dostosować modę do siebie i wykorzystywać tak, aby nie wydatniać swych braków. Nie będzie to w tym sezonie trudno, wygiąć, odgiąć, uchyleń ronda jest tak wielka różnorodność, że każda z pań może sobie dobrać kapelusz, w którym będzie jej

do twarzy. Swoboda w dziedzinie przybrań ogromna, moda obecna nie znosi jedynie przeładunku poza-tem zostawia jak najszersze pole pomysłowości osobistej.

Na zakończenie przypomnę osobom praktycznym, że każdy stary filc, lub słoma dają się za niewielkie pieniądze przefasonować na najmodniejszą fason. *Well.*

HISTORIA RĘKAWICZKI

„Wtem leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobiej Marty.
Pada między tygrysa i między lamparty,
Na środek placu“.

Pamiętamy dobrze ten ustęp ze starej ballady Szillera, w której tak ważną rolę odgrywa rękawiczka. Ten strój ręki uwielbianej damy staje się narzędziem śmiertelnej próby, z której zwycięsko wychodzi ambicja rycerza, ale w której bezpowrotnie spala się jego miłość dla zimnej kokietki.

„Rycerz jej w czczy rękawiczkę rzucił:

— Pani, twych wdzięków nie trzeba mi wcale.

To rzekł i poszedł i więcej nie wrócił“.

Zmieniły się czasy. Dzisiaj nie rękawiczką, ocaloną z klatki lwów, ale haftowaną perłami, parą arcydzieł od Perrin'a z Grenoble podbija się serce światowej kobiety. Nie walka o śmierć i życie wchodzi w grę, ale kurs dolara. Zniwelowały się warunki bytu, zmalały wymagania. Wczorajsze bóstwa pokornie chodzą w kieracie codziennych zabiegów, mozolnie młóćąc zboże na mąkę dla pospolitych zjadaczy chleba.

Przypatrzmy się zbliska, jakie koleje przeszła ta mała czarodziejka — rękawiczka, której skinienie obalało trony i między najwierniejszych druhów miało krwawe piętno wyznania.

Już u Homera spotykamy pierwszą wzmiankę o rękawiczce. Odgrywa ona rolę całkiem utylitarną: ojciec Odyseusza pracuje w polu w rękawiczkach, żeby sobie rąk nie pokaleczyć kolcami. W tym samym celu Rzymianie używali swych „manicae“ do robót polnych, a „digitalia“ przy stole. Pod koniec I-go wieku, dzięki rozpowszechnieniu kosztownych strojów azjatyckich, zbytkowne rękawiczki weszły w użycie do tego stopnia, że aż filozof Musonius cierpko się na to skarży, upatrując w nich jeszcze jeden objaw zepsucia i upadku pierwotnej cnoty i surowości obyczajów.

„Jest to prawdziwie haniebną rzeczą, że osoby, cieszące się znakomitą zdrowiem, odziewają swe stopy i dłonie w giętkie materje“.

Owczesne rękawiczki są wyrabiane ze skóry, ze lnu, później z jedwabiu i wysoko są cenione przez wykwintniów.

Pozatem rękawiczka nabiera w Rzymie znaczenia symbolicznego. Ofiaruje się ją jako podarunek po zawarciu kontraktu, podobnie jak u Hebrajczy-



Rękawiczka z Cesarskiego skarbcza
w Wiedniu. W. XII.

ków. Czytamy w księdze Ruth o człowieku, który zdejmując obuwie i wręcza je swemu sąsiadowi na znak dokonanego kupna, lub zamiany. Pod słowem „obuwie“ niektórzy rozumieją zarówno dobrze sandał, jak rękawiczkę. Malowidła ściennie w Tebach przedstawiają posłów obcoplemiennych, przynoszących rękawiczki w darze królom. Może być zatem, że służyły one i za znak hołdu.

Kto właściwie pierwszy wprowadził w życie rękawiczki? Czy pierwotni mieszkańcy Persji, czy ci lennicy faraonów, co z odległych krain przysłali Tut-Ank-Amonowi parę rękawiczek z safjanu, niedawno wydobytych z królewskiego grobowca?

Niewiadomo. To jedno jest pewnym, że rękawiczka występuje już w mitologii ludów Północy. Tor, germański bóg piorunu, wdziewa rękawice, zanim się dotknie młota Niolnirsowego.

Z potrójnego źródła tradycji rzymskich, celtyckich i germańskich wyrosła rękawiczka średniowiecza, nie tylko bogata w rozległą skalę użytkową, ale uposażona hojnie wartościami symbolicznymi.

Jesteśmy w epoce, kiedy ciało, to sprostie siedlisko szatana, jest szczelnie zakryte szatami, a rękawiczka jest w powszechnym użyciu, nawet u ludu. Rzemieślnicy noszą specjalne rękawice robocze, sięgające po łokieć. Niektórzy historycy twierdzą, że robią to oni z obawy przed chorobami epidemicznymi, które bezkarnie dziesiątkowały ludność grodów i podgrodzi średniowiecznych. Dość, że w VIII wieku, wszyscy ludzie lepszego stanu używają rękawiczek i są wybredni w ich doborze. Rękawicznicy i białoskórnicy otrzymują liczne przywileje. Tak np. Karol Wielki udzielił mnichom w Litynie prawa nieograniczonego polowania, aby mogli sobie zdobyć potrzebne im skóry. Okazuje się, że nawet zakonnicy, lubiący ubóstwo, noszą rękawiczki, jak o tem świadczy postanowienie Koncylium w Aix-la-Chapelle z r. 817, które zezwala mnichom na posiadanie dwóch par rękawiczek, letniej i zimowej. Wreszcie na wszystkich zabytkach i pomnikach średniowiecza, na pieczęciach książęcych, na iluminowanych kartach mszałów, na płaskorzeźbach i sarkofagach nagrobnych widzimy postaci w rękawiczkach. Rzucają się przytem w oczy trzy odrębne typy rękawiczek: rękawica rycerska bojowa, rękawiczki, używane przez duchowieństwo i wreszcie te, które nas najbardziej obchodzą: rękawiczki strojne.

Początek ich sięga bardzo odległych czasów. Mozaiki z Rawenny ukazują nam mnóstwo arcydzieł ze skóry, haftowanych różnokolorowymi jedwabiami. Począwszy od wieku VI wchodzi w użycie rękawiczki ze skóry starannie wyprawionej, które nakładano na wielkie uroczystości. Poeta Ernoldus każe swemu bohaterowi duńczykowi Héroladowi wdziac białe rękawiczki, jako część stroju, który otrzymał w darze od cesarza po przyjęciu chrztu. Kroniki kościelne wspominają o zbyt kosztownych rękawiczkach prałatów i biskupów, choć jeszcze nie było zwyczaju celebrowania w rękawiczkach. Długie, sięgające po łokieć, a nieraz bogato haftowane rękawice sprowadzone zostały do Anglii przez Normanów. Moda szła w parze z podbojem.

W legendach i poematach rycerskich rękawiczki odgrywają rolę podarunków miłosnych. W powieści o Tristanie i Izoldzie król Marko zdejmując rękawiczki, oszyte gronostajem. „To ona—myśli—przywiozła mi je niegdyś z Irlandji!”

Nie bez wpływu na postać rękawiczki strojnej pozostała rękawica bojowa. Ślad trzech giętkich sztabek na grzbiecie dłoni odnajdziemy w tradycyjnych naszytach dzisiejszej rękawiczki.

Wspomnieniom przeszłości również zawdzięczamy przeróżne metalowe zapinki, zameczki sprężynowe, zatrzaski i pętelki, wreszcie charakterystyczny, a tak dziś modny mankiet.

Dopiero od w. XII mamy prawo mówić o rękawicach ściśle bojowych, przedtem bowiem ręce rycerzy były osłaniane przedłużeniem rękawa w formie worka o oddzielnym paluchu. Rękawice skórzane z mankietami i palcami datują się od czasu Wojen Krzyżowych. Te same motywy ornamentacyjne powtarzają się na zbroi i na rękawicach, jak to można sądzić z rękawiczek skórzanych, pokrytych haftem w guście arabskim, pochodzących z koronacji normandzkiej w r. 1152, a obecnie przechowywanych w skarbcu wiedeńskim.

Za Filipa Pięknego noszono rękawice z blachy mosiężnej, lub żelaznej, powleczone materją lnianą, jedwabną, lub aksamitem w żywych kolorach, jak to widzimy na manuskryptach z w. XIII i XIV.

Teraz przychodzi czas na podkreślenie tej ważnej roli symbolicznej, jaką rękawicze przypisywało średniowiecze i która tłumaczy poniekąd jej ozdobność, kosztowność i wyszukanie.

Zwyczaj germański traktuje rękawice, jako godło woli monarszej. Kodeks Sęski wielokrotnie to przypomina. „Żadna miejscowość nie ma prawa założyć targu, jeśli cesarz nie przyśle jej rękawiczki ze swej prawicy”. „Nie wolno nikomu bić monety, bez pozwolenia elektora, który jako dowód upoważnienia, ma przysłać swą rękawicz-

kę”. Karol Wielki dokonywał inwestytury swych baronów przez wręczenie im „laski i rękawiczki.” Książęta feudalni rozdają beneficja duchowne prałatom, wręczając im parę rękawiczek, co nazywało się nawet „prawem rękawiczki”.

W w. XI-ym rękawiczki stają się częścią szat liturgicznych. Robi się je z wełny na drutach, lub z cienkiego sukna, a na wierzchu wyszywa się złotem krzyż w aureoli.

Skarbiec katedry w Pradze Czeskiej przechowuje dotąd po św. Wojciechu rękawiczkę, robioną na drutach.

Zwyczaj noszenia rękawiczek przez duchowieństwo dał asumpt Wilhelmowi Durand do złośliwej uwagi o prawicy, która nie powinna wiedzieć, co czyni lewica, i w tym celu przykrywa się ją rękawiczką. Później te rękawiczki rytualne stają się tak zbyt kosztowne i olśniewają takim mnóstwem klejnotów, że w XIV wieku władze duchowne specjalnymi rozporządzeniami ograniczają ich kosztowność.

Znanym jest szczegół zgonu ostatniego z Hohenstaufów, Konradyna, który z rusztowania, na którym go miano stracić, rzuca w tłum rękawiczkę z poleceniem, aby ją zaniesiono Piotrowi Aragońskiemu, którego w ten sposób naznacza swym następcą. Również zapomocą rękawiczki hrabia Flandrii, przekazuje Filipowi Pięknemu władzę nad swymi miastami. Przy wymiarze sprawiedliwości

zdjęcie rękawiczki oznacza zupełną bezstronność. Wreszcie utarte wyrażenie „rzucić rękawicę”, „podnieść rękawicę” przechowuje do dziś dnia tradycje obyczajów rycerskich.

Ażeby zamknąć ten cykl symboliki rękawiczkowej, zacytujemy jeszcze zwyczaj rozdawania po pogrzebie pamiątkowych rękawiczek przyjaciółom zmarłego. Zwyczaj ten przetrwał aż do r. 1736 w Nowej Anglii, gdzie z powodu śmierci żony gubernatora Belchera rozdano zgórą tysiąc par rękawiczek. Przebiegliśmy pokrótce tę całą skalę znaczeń symbolicznych rękawiczki w zakresie pojęć o władzy, sprawiedliwości, honorze i wierności. Czas przejść teraz do innej fazy jej rozwoju, a mianowicie do tej, która obraca się w zaczarowanym kole piękna, mody i fantazji, poruszanem wątlą i kapryśną dłonią kobiecą.

Zaczyna się to mniej więcej ku końcowi w. XIV. Na pieczęciach ówczesnych widzimy damy w rękawiczkach, szczególnie Jolantę Bretońską. Nosi ona najczęściej rękawiczki „sokolnicze” ze skóry gemzowej, lub psiej, sięgające aż do łokcia, wyprawione na biało, lub na czerwono i przyozdobione haftem. Często też robi się je z tkaniny pasiastej, aby optycznie wydłużyć rękę. Zdobi się suto guzikami z pereł i ze złota.

Spero.



Rękawiczka angielska z haftem i inkrustacją ze skóry. W. XVI.



Rękawiczka sokolnika Ludwika XIII.



Z HODOWLI ŚWIŃ

PROSIĘTA.

Na wiosnę stają się aktualne wszelkie tematy, dotyczące wychowania i wyżywienia młodego inwentarza, gdyż jest to czas, kiedy najliczniej powiększa się nasze żywe gospodarstwo. W wielu wypadkach powinniśmy tak pokierować, aby przyrost ten miał miejsce właśnie na wiosnę, kiedy mamy już wielkiego sprzymierzeńca w pracy—słońce. Jego światło i ciepło są nieocenionymi czynnikami, warunkującymi zdrowy rozwój wszystkich istot żyjących.

Przystępując do omówienia wychowu prosiąt, trzeba odrazu zaznaczyć, iż najlepsze rezultaty przynosi wychów z lęgu wiosennego. Młodzież ma dosyć czasu do zimy, aby się doskonale rozwinąć, korzystając z ruchu na świeżym powietrzu. Nie trzeba chyba podkreślać, iż sztuki racjonalnie wychowane w okresie letnim są o wiele zdrowsze i odporniejsze od wychowanych w zimie, które musiały z konieczności większą część życia spędzić w chlewach. Wychów wiosenny ma tę wielką zaletę, że jest o wiele mniej kłopotliwy i tańszy od zimowego.

Ażeby osiągnąć dobre rezultaty naszej pracy, musimy otoczyć prosięta troskliwą opieką od samego zarania ich życia. Przedewszystkiem powinniśmy dać im pomieszczenie ciepłe, suche i widne, które można z łatwością przewietrzać. Chlewy powinny mieć dobrze urządzone ścieki; ściółka powinna być codzień zmieniana. Na ściółkę najlepiej używać słomę krótką, małe prosięta często zagrzebują się w długą słomę i zdarza się, że maciorka, nie widząc ich, kładzie się na nie i zgniata.

Przez cały okres ssania, t. j. najmniej przez 6 tygodni, prosięta trzymamy razem z matką, która w pierwszych tygodniach życia jest jedyną ich żywicielką. Nasza troska o zdrowie małych w tym czasie polega na zadawaniu matce zdrowej i odpowiedniej paszy, przedewszystkiem pożywnej i łatwo strawnej. Pierwszego dnia po porodzie powinna dostać ciepłą zupę z otrąb pszennych (wskazane przez cały czas karmienia), lub kaszę jęczmienną rozgotowaną z mlekiem i wodą. Później można dawać prawie wszystko, unikając kiszonek, wywarów, wszelkich pasz rozdymających lub nadpsutych. Bardzo dobre są zawsze gotowane ziemniaki z osypką. Ilość pożywienia trzeba stopniowo zwiększać w miarę wzrostu prosiąt, a co zatem idzie większego zapotrzebowania ich w pokarmie. Należy uważać, aby maciory nie przekarmić, gdyż zapasiona traci wartość jako sztuka rozplodowa.

Pomieszczenie, w którym trzymamy gniazdo, powinno być przedzielone przegrodą na mniejszą część dla maciory i większą—dla prosiąt. W przegrodzie muszą znajdować się na dole małe zasuwane drzwiczki. Proste to urządzenie oddaje nam duże usługi. Wpuszczając prosięta do matki w określonych porach, możemy regulować ilość i częstość posiłku, co doskonale wpływa na jakość pokarmu i trawienie małych. Prosięta powinny ssać co 3 godziny, z conajmniej sześciogodzinną nocną przerwą. Korzyść z przegrody jest nieoceniona wówczas, jeżeli trafimy na maciory złośliwe, które pożerają swe małe. W krótkim czasie ssania możemy dopilnować i zapobiec temu, co byłoby niemożliwym przy stałym przebywaniu małych z matką. Kiedy zaczynamy prosięta dożywiać, i nikamy również w ten sposób zjadania przez maciorę paszy przeznaczonej dla małych.

Przez pierwsze 3—4 tygodnie możemy się doskonale zorientować w wartości poszczególnych prosiąt. Najlepiej zbudowane sztuki przeznaczamy na rozplodowe, do dalszego chowu, pozostałe — na przyszłe opasy. Pierwsze z nich powinny ssać co najmniej 7 tygodni (im dłużej, tem lepiej), sztukom opasowym wystarcza sześciotygodniowe ssanie.

Już jednak w trzecim tygodniu małym przestać wystarczać pokarm matki i trzeba im podawać dodatkowe pożywienie. Odtąd jednym z ważniejszych wskazań higieny będzie przestrzeganie czystości korytka. Nie należy bezwzględnie zostawiać w nim niedojedzonych pokarmów, które, zwłaszcza w lecie, bardzo łatwo podlegają psuciu i są powodem często śmiertelnych biegunek. Najlepiej zaraz po każdym jedzeniu resztki usunąć i wymyć korytko czystą wodą i szczotką. Raz na dzień trzeba je zdezynfekować wapnem (garść wapna niegaszonego na 10 litrów wody).

Pierwszym postronnym pokarmem dla małych powinno być do połowy rozcieńczone wodą świeże mleko krowie, zagrzane do 30 — 33° C., w ilości 1/2 szklanki na sztukę. Na początek dożywiamy tylko raz na dzień. Stopniowo zwiększamy ilość dodatkowej paszy, aż do 1 litra mleka (prócz innych pokarmów) na sztukę w 4 dawkach. Oczywiście po 3—4 dniach dożywiania zastępujemy mleko pełne rozcieńczone, mlekiem chudym z pod wirówki, zawsze jednak zwracając uwagę, aby było zupełnie świeże. Czterotygodniowe prosięta mogą jeść już dobrze rozgotowaną kaszę jęczmienną z mlekiem. Doskonale wpływa na rozwój kości dodatek maki owsianej dobrze oczyszczonej z ości. Dając prosiętom wcześniej (3—4 tyg.) trochę palonego jęczmienia, przyzwyczajamy je zawczasu do dobrego gryzienia pokarmów, co wywiera duży wpływ na trawienie. Wkrótce przed odłączeniem od matki można przyzwyczaić małe do jedzenia dobrze ugotowanych kartofli (200 gr. na sztukę), co wkrótce będzie jedną z podstaw ich pożywienia. Zbyt wcześniej i zawiele ziemniaków nie należy dawać, gdyż nie wpływają one dobrze na rozwój tkanki mięsnej.

Prosięta przeznaczone na opas trzeba wykastrować w piątym tygodniu, gdyż ranka lepiej się goi, póki małe jeszcze ssie. Odłączanie prosiąt musi odbywać się stopniowo. Trzeba je coraz rzadziej dopuszczać do matki, a potrosze zwiększać porcje dodatkowego pożywienia.

W ten sposób moment odłączenia przejdzie prawie niepostrzeżenie dla obydwuch stron. Żywiąc nadal prosięta musimy pamiętać, że im dłużej dostają one mleko, tem lepiej się rozwijają. Conajmniej do 3 miesięcy mleko powinno być podstawą ich pożywienia. Musi ono być zupełnie słodkie; mleko nadkwaszone jest zawsze bardzo szkodliwe. Po 3 miesiącach można już bez obawy dawać mleko dobrze zsiadłe. Z osypek najlepsze są dla prosiąt jęczmienna, owsiana i otręby pszenne. Ważnym dodatkiem do jedzenia jest kreda szlamowana, która wpływa bardzo dodatnio na rozwój kości. Można ją dosypywać potrosze do każdego jedzenia od samego początku dożywiania. Do 3 miesięcy prosięta powinny jadać 5, potem 2 razy dziennie. Dobrze jest 2 razy w ciągu dnia dawać karmę zupełnie gęstą, a potem czystą wodę do popicia. Podawanie wody bywa uważane przez niektórych hodowców jako zbyteczne, przekonałam się jednak, że woda reguluje doskonale trawienie i jest bardzo chętnie pita

zwłaszcza w lecie. Po 3 miesiącach prosięta można wypędzać już na pastwisko, na zieloną paszę. O ile dobrego pastwiska niema i trzoda chodzi tylko na okólniku, to trzeba zadawać, do koryt zieloną paszę, która jest bardzo zdrowa i stosunkowo tania. Najlepiej się nadają w tym celu koniczyna, lucerna, peluszką, a nawet niektóre chwasty (komosa, pokrzywa, i t. p.). O ile zadajemy zieloninę w korycie, dobrze jest ją posiekać i podać z osypką 2 razy dziennie, może to być wyłącznym posiłkiem. Na tem polega znacznie tańszy koszt letniego żywienia prosiąt z wiosennego lęgu.

Niezmiernie ważnym czynnikiem w rozwoju prosiąt jest, jak już wspominaliśmy, ruch na świeżem powietrzu. Przy sprzyjającej pogodzie można za-

ledwie tygodniowe maleństwa wypuszczać z matką na okólnik, aby użyły dowolni ruchu na słońcu. Prosięta, wcześniej i dużo przebywające na powietrzu, są zdrowe i silnie zbudowane. Jest to również wielka przewaga wychowu na wiosnę i w lecie. W zimie dopiero po 3 tygodniach można małym w pogodny dzień pozwolić na pierwszy spacer, nigdy jednak nie mogą przebywać zbyt długo na dworze, ze względu na chłód.

Po upływie pół roku warchlaki, przeznaczone na opas powinny mieć do pewnego stopnia ruch ograniczony, gdyż idzie nam już o wytwarzanie tkanki tłuszczowej, nie tylko o rozwój kości i mięśni. Zawsze jednak umiarkowany ruch na okólniku, lub bliskim pastwisku jest zdrowy i pożyteczny dla nich.

H. Bilsku.

TRUSKAWKI

Kto z jakichkolwiek powodów nie założył na jesieni truskawek, może powetować to sobie na wiosnę, jak tylko ziemia obeschnie, ogrzeje się i da się uprawić, to jest mniej więcej w drugiej połowie kwietnia. Naturalnie w tym samym roku plonu spodziewać się nie można, bo gdyby nawet przy sprzyjających warunkach truskawki kwitły i wiązały się, nie warto osłabiać roślin dla lichego zbioru, lepiej wyłamać pędy owocowe i poczekać, a następny rok sowicie nagrodzi cierpliwość dorodnym i obfitym urodzajem. Co do położenia, klimatu i gleby, truskawki nie są wymagające, słoneczna wystawa sprzyja naturalnie ich przedszemu rozwojowi i dojrzewaniu, ale udają się i w lekko zacienionych miejscach, między młodemi drzewkami owocowemi.

Wiosenne sadzenie truskawek jest takie same, jak letnie, trzeba tylko mieć z jesieni przygotowaną rozsądę truskawczaną, ta jest rozpikowaną na zagonkach, w braku takowej u siebie można nabyć ją w większych ogrodach handlowych, jak np. Braci Hoser w Warszawie, ale najlepiej mieć swoją, na co zresztą tylko trochę pamięci we właściwej porze to jest w sierpniu i wrześniu, potrzeba. Skoro ziemia jest już dostatecznie ciepła i sucha, przesadzamy młode roślinki na zagonki zregulowane i dobrze doprawione kompostem i końskim nawozem. O ile ziemia jest lekka, trzeba przed kopaniem rozrzucić trochę gliny, gdyż truskawki lubią ziemię związłą. Za staranną regulówkę i doprawę truskawki zapłacą sowicie pięknym i bogatym zbiorem, owocując trzy lata na jednym miejscu.

Truskawki sadi się na zagonkach, albo na płask, czyli w linje. Na zwykłym dwulokciowym zagonku ciągnie się podług sznura 3 rzędy, jeden środkiem, dwa bokami o $\frac{1}{4}$ łokcia od brzegu; flance sadi się co łokieć tak, aby mijaly się na rzędach. Przy sadzeniu dobrze jest podsypać pod każdy krzak trochę kompostu. Rozsadzie skraca się korzenie, gdyż nie dobrze jest, aby się zawijały. Dołek na roślinkę robi się, wsadzając w ziemię otwartą rękę tak, aby uformować skośny, płaskawy otwór, odpowiadający najlepiej ukorzenianiu się rozsady. Obciskając młode roślinki trzeba zrobić naokoło nich wgłębienia w kształcie miseczek, które nakłada się drobnym nawozem, aby utrzymać wilgoć w ziemi.

Przy zakładaniu dużych handlowych truskawczarni, dogodniejszą jest uprawa płaska, na ziemi koniecznie zregulowanej. Przy płaskiej uprawie daje

się również łokciowe odstępy, a ponieważ krzaczki w pierwszym roku mało są rozrośnięte, można między nimi sadzić po jednej flancy sałaty głowiastej. Takie sadzenie daje nam jeszcze tę korzyść, że ochrania truskawki przed napaścią różnych szkodników, czyhających na nie, ale lubiących jeszcze bardziej sałatę, której sadzonki, gdy przysychać zaczną, trzeba zaraz wrywać, a złapiemy podjadka.

Jest jeszcze trzeci sposób sadzenia truskawek, ale to tylko w małych ogródkach, gdzie chcąc mieć wszystkiego potrochu, wyzyskać musimy umiejętnie każdy kawałek ziemi i liczyć się z każdym miejscem. Obsadzamy zatem truskawkami brzezi warzywnych grządek i kwiatowych rabatek wzdłuż uliczek, aby nie rozdrabniać działek, a tem samem nie utrudniać utrzymania w porządku miniaturowego ogródka. Po posadzeniu i mocnem obciśnięciu truskawek trzeba je podlać obficie, a że nieraz zdarzyć się może potrzeba podlania roślinek, pamiętać należy, aby wody nie żałować. Lekkie zraszanie, zwłaszcza podczas upałów i długotrwałej suszy, prędzej szkodzi, niż pomoże, lepiej podlewać rzadziej, a bardzo obficie. O ile mamy truskawki założone poprzedniego lata na wiosnę, jak ziemia obeschnie, a więc w kwietniu, trzeba oczyścić zagonki z suchych liści, zmotykować ziemię między krzaczkami, usuwając starannie puszczające się już zielska, jeżeli krzaczki były obłożone na zimę krótkim słoniastym nawozem, lub liśćmi, trzeba rośliny oczyścić, ziemię przekopać z nawozem, czy też liśćmi, obsypać krzaczki, które z pod liści wypuszczają nowe korzenie. Gdybyśmy krzaczków nie podsypali, roślina przyschłaby i ucierpiała od suszy.

Truskawki, sadzone w lipcu, lub w pierwszej połowie sierpnia, owocują już w następnym czerwcu, wprawdzie nie bardzo obficie, ale jagody są duże i dorodne. W drugim roku mamy zbiór największy, w trzecim truskawki drobnieją, choć, jeżeli dobrze były pielęgnowane, dają jeszcze dużo owocu.

Po skończonem owocowaniu kasuje się truskawczarnię, która dłużej, jak trzy lata, na jednym miejscu trwać nie powinna, i zakłada nową kwatere. Na założenie nowej truskawczarni nie dzieli się nigdy starych krzaków, tak jak to nieraz na wsiach daje się widzieć, ale używa flance z naturalnie zakorzeniających się wąsów. Truskawka wydaje dwa rodzaje łodyg — kwiatowe, sztywne, sterczące do góry i wąsy pnące się po ziemi. Wychodzą zaczynają

one kiedy kończy się owocowanie. Jest to cienka łodyżka zakończona zgrubieniem, które od góry wypuszcza listek i pąk wzrostowy, a od dołu przy zetknięciu z ziemią korzenie, ułatwia się wzrost i zakorzenie floncki przypinając ją kulka drewniana do zagonka. Flanc takich możemy mieć bez liku, bo wąsy przedłużają się i rozdwiają, wypuszczając w małych odstępach coraz to nowe flance, silne jednak są tylko te, które w bliskości matek wystają, im dalej — tem słabsze.

Flancki takie można, albo zaraz sadzić na miejsce przeznaczenia, albo rozsadzać, czyli pikować na zapasowych grządkach, skąd po zakorzeniu, nie później jednak jak do września, lub na wiosnę, sadi się je na przygotowane zagonki. Gdy truskawki zawiązują się, to jest pod koniec maja, trzeba obłożyć krzaczki grubo krajaną prostą słomą (siecza, plewy i trociny nic nie są warte), lub mchem leśnym, aby owoce nieżkie przy dojrzewaniu nie leżały na ziemi i nie walały się, opiaszczona bowiem truskawka traci połowę wartości. Ważną bardzo jest pora podścielania truskawek, nie zapóźno, aby nie połamać owoców — nie zawcześnie, aby nie dać rozwiemożnić się zielsku, którego po podesłaniu nie można już trapić.

Podczas wzrostu owoców dobrze jest podać truskawki gnojówką, rozcieńczoną wodą deszczową, ale trzeba to zrobić ostrożnie i koniecznie w pochmurny dzień. Owoce zbiera się zrana, jak tylko rosa obeschnie, najlepiej ścinać je ma leńkami nożyczkami, żeby krzaków nie podrywać, jeżeli przeznaczone są na sprzedaż trzeba zrywać je od razu w opaleczki, lub kartoniki, nie większej niż kilo objętości, wyłożone listkami, żeby się nie pogniotyły. Dalekiej przesyłki truskawki nie wytrzymują, chyba, że są zbierane na pół dojrzałe i starannie bardzo pakowane w niewielkie pudełka, które znów ustawia się ściśle w dużym koszu, lub paczce, przegradzając każdą warstwę cienkimi deseczkami, na których podesławszy liści, lub zupełnie suchego siana ustawiamy drugą warstwę, i tak, aż do napełnienia kosza. Owoce pięknie doj-

rzały trzeba układać jedną warstwą w pudełeczka półkilowe, przekładając, a raczej odgradzając każdą truskawkę listkiem, tak aby się nie obcierały, bo tracą świeżość i blask kolorytu, który jest ich największą ozdobą. Naturalnie tak pakować warto tylko wyborowe okazy, na których doskonałem przesłaniu specjalnie nam zależy — jest to bowiem drobiazgo wa praca, która w zwykłych warunkach nigdy nie opłacałaby się.

Zużytkowanie truskawek powszechnie jest znane: robi się z nich doskonałe konfitury, marmolady, soki, żaden jednak z tych przetworów nie dorównywa świeżym truskawkom, które spożywa się same, z cukrem, ze śmietanką, lub mlekiem. Jest to owoc nadzwyczaj zdrowy i cenny, bo dojrzewa wtedy, kiedy innych niema zupełnie. Jako owoc handlowy mniejszą przedstawia wartość, trudny do przewiezienia, łatwo ulegający zepsuciu, wrażliwy bardzo na chłody podczas kwitnienia i suszę podczas owocowania.

To też w dalej od dużych miast położonych okolicach zarzucają coraz bardziej wielkie plantacje, poprzestając na małych na własny i najbliższej okolicy użytek. Gatunki i najczęściej poszukiwane są: Szarplepsy, szlachetne Nobla i Król Albert Saski. Oprócz truskawek sadzone są jeszcze w ogrodach poziomki czerwone i białe powtarzające, czyli miesięczne.

Trochę mniej aromatyczne od leśnych, choć większe i dorodniejsze, nie są tak poszukiwane, jak leśne, bo zrobione z nich przetwory mniej pachną i kolor mają ciemniejszy. Wartość ich handlowa jest prawie żadna, zwłaszcza dziś przy tak kosztownej robociznie, niemniej hodowlę ich zalecić trzeba każdemu, dają bowiem doskonałe, mile, orzeźwiające pożywienie nie tylko przy wykwinym podwieczorku, ale i spracowanemu w upalnym znoju robotnikowi.

Truskawki i poziomki powinien mieć każdy w swoim ogródku, hodowlę ich należy rozpowszechnić, aby dały pewną sumę zadowolenia nie tylko wybranym, ale i ogółowi. Taka bowiem tylko produkcja jest wartościowa, która służy wszystkim.

Z...ska.



DYSPOZYCJE OBIADÓW

Nawet w najskromniejszych obiadach należy uważać, żeby nie tylko dania się nie powtarzały, na przykład, aby po rosolu z cielęciny o ile można nie następowała pieczeń, lub sznycle cielęce, lecz i dodatki i garnitury były urozmaicone, na przykład jeśli w rosolu były kartofle, to do sztuki mięsa należy już dodać makaron, kluseczki, marchewkę, brukselkę itp. Oszczędnościowe względy każą nam nieraz mięso z zupy podać w potrawce, wtedy jednak nie jest to powtórzeniem, gdyż już w zupie tego mięsa nie podajemy, natomiast do takiego rosolu należy podać jakąś przystawkę, — makaron zapiekany z serem ostrym, jakieś naleśniki nadziewane, czy inne pa-

szteciki, ryż w muszelkach lub mózdzek, gdyż obiad, składający się li tylko z rosolu i potrawki, jako mniej pożywnej od mięsa pieczonego, lub smażonego byłby stanowczo za lekki. Lub też zamiast przystawki do rosolu możemy dać jakąś pożywną leguminę, jakiś budyń z sera, czy racuszki z konfiturami, ryż zapiekany z jabłkami, lub obfitą szarlotkę. Odwrotnie jeżeli mamy zupełną zabielałą zawieszistą, jakąś grochówkę lub kapuśniaczkę na wędzonce, drugie danie może być lżejsze, — kotlety cielęce bite, zraziki z polędwicy „à la hate“, risotto z nerczkami, gołąbki z kapusty, kurczęta, gołąbki pieczone itp. Na leguminę może być wtedy kompot, galaretką, mus,

kisielek, krem, lub lekki suflet. Dobra, pomysłowa gospodyni, a pomysłowość jest kardynalną zaletą dobrej gospodyni, — potrafi zawsze tak ułożyć jadłospis aby obiad był jednakowo pożywny i aby nic się nie marnowało. Wszelkie resztki można zużyć na rozmaite drobne przystawki, nie stanowiące właściwego dania, jednak podnoszące smakowitość obiadu i jego pożywność. Tutaj nieocenione usługi oddają małe, gliniane tygielki, które teraz w każdym sklepie naczyni można nabyć. Zastąpiły one do pewnego stopnia dawniejsze, wyborne muszelki. Te ostatnie zupełnie znikły z handlu, a szkoda — kto je z przed wojny zachował, może podawać całe szereg tanich przystawek, dając im elegancki i apetyczny wygląd. Wszelkie resztki mięs siekanych w postaci zapiekanek i forszmaków, wszelkie jarzynki odegrzane, polane rumianem masłem z bułeczką, wszelkie sałatki z sosem majonezowym, rozmaite kombinacje makaronu i ryżu, grzybów i pomidorów, odegrzewane w tygielkach lub muszelkach, wczorajsze flaki, lub bigos, — wszystko się do takich przystawek nadaje. A jeżeli sięgniemy pamięcią do tego, co się da podać w naleśnikach, ptysiach, omleczkach i „vol au vent“ z francuskiego ciasta, możemy bodaj rok cały się nie powtarzać.

Przy dyspozycji obiadów wystawniejszych, prostszych, na które się składa, zależnie od zamożności domu i rodzaju przyjęcia, cztery, pięć lub sześć dań, musimy stosować te same, co i przy codziennych obiadach zasady: przy bardzo wytwornych obiadach podaje się zwykle dwie zupy, jedną zawieszistą, zabielaną, drugą czysty rosół lub buljon, do obu muszą być podane odpowiednie paszteciki. Zwykle podaje się ich odradu dwa lub trzy gatunki. Gdy jedno są we francuskim cieście, inne w drożdżowym, najlepiej jak pączki, smażone na fryturze, trzeci gatunek może być w cieście ptysiowym, lub mogą to być jakie ostre grzanecki. Do skromniejszych obiadów jedna dobra zupa i jeden rodzaj pasztecików wystarczą.

Rozmaite potrawy narodowe, bigos, flaki, kołduny, rosyjskie bliny, lub kulebiaka, mogą znaleźć miejsce tylko w mniej wystawnych obiadach. Jako dania ciężkie i bardzo sycące podaje się je przed zupą. W takim obiedzie, zaczętym ciężkim daniem pierwsze mięso cięższe po francusku „entrée“ zwane, — sztuka mięsa lub ozór, rozbeł, poledwica z garniturem itd. są zbyt ciężkie. Po zupie można dać jakąś lekką przystawkę, jakąś rybę, potrawkę lub vol au vent, poczem już może zaraz iść pieczone, na które w bardzo wystawnych obiadach używa się tylko drobiu i zwierzyny z kompotami i sałatami. W obiedzie mniej wystawnym na pieczone może być pieczeń cielęca lub wołowa, poledwica lub rozbeł, pieczeń barania lub schab wieprzowy. Comber barani i comber cielęcy należą do dań bardzo eleganckich i mogą godnie figurować na najwspanialszych przyjęciach. Nie należy zapominać o jarzynach. Między pieczystem a leguminą jest ich miejsce właściwe, a nigdy pod zupie, jak w wielu domach na wsi podają; jarzyny są daniem lekkim, należy więc je podawać po wszystkich rzeczach cięższych, kiedy już goście są prawie nasyчени.

Jarzynę można podawać jeden, dwa, lub kilka gatunków naraz, ale zawsze na jednym półmisku, —

mogą być podzielone kratką, jakby płótkiem z ciasta. Podawanie różnych jarzyn na rozmaitych salaterkach jest strasznie drobnomieszczańskie i żadną potrzebą smaku, ani estetyki nieuzasadnione. Jeżeli obiad ma być krótszy, zamiast oddzielnego dania z jarzyn, możemy dać obfity garnitur jarzynowy do głównego dania mięsnego. Tutaj musimy zwrócić specjalną uwagę na to, aby jarzyny były użyte odpowiednio. Naprzykład buraczki są odpowiednio do kotletów wołowych, pieczeni wołowej, baraniny wszelkiej, cietrzewia, sarniny, zająca itp., natomiast zupełnie nie pasują do kury, cielęciny, a nawet wieprzowiny. Do prosięcia za wyjątkiem kaszy hreczanej i różnych oddzielnych sałat nie podaje się żadnej jarzyny. Kapusta może być użyta do wołowiny, wieprzowiny i najnieprzewidzianiej — do kuropatw. Niemożliwe w krótkim artykule przewidzieć wszelkie kombinacje. Doświadczenie i smak osobisty powinien tu kierować gospodynią. Jeśli są dwa mięsa w obiedzie, należy uważać, aby jedno było czarne, drugie białe. Po sztuce mięsa z wołowiny podać kurczęta, lub indyka, po potrawce z kury, lub cielęciny zająca, lub kuropatwy. Ryba smażona w obiedzie postnym zastępuje pieczone, na danie pierwsze po zupie daje się rybę gotowaną, duszoną, z sosami, ale nigdy pieczoną.

Leguminy, które są dokompletowaniem obiadu, powinny być zastosowane do reszty jadłospisu. Po obiedzie ciężkim powinna następować legumina lekka — lody, musy, kremy, galarety. Po obiedzie lżejszym budynie, melszejzy, wafle z kremem, „savarin“ itp. Przy bardzo wystawnych obiadach podaje się dwie leguminy, najprzód gorącą, potem zimną. Kompoty w obiadach wystawnych nie stanowią samodzielnego dania tylko przystawkę do pieczonego. Oprócz kompotu, elegancko podane pieczone powinny mieć jako przystawkę sałatę zieloną, lub borówki smażone. Przy bardzo długich obiadach nieraz między rybą, a pieczystem podaje się poncz mrożony w kieliszkach szampańskich. Ma to na celu odświeżenie smaku po paru daniach mięsnych i zwykle w ostrzejszym sosie podawanej rybie. *Poni Elżbieta.*



LEGUMINA KAWIANO-CZEKOLADOWA.

Ugotować mocnej aromatycznej kawy bez cykorji. Szklanekę tej kawy zmieszać z pół szklaneką masła, zagotować i sparzyć tem szklanekę najlepszej pszennej mąki, ubijając łyżką w rondlu, aż ciasto się tak zaparzy, że od rondla odstanie. Dziesięć deka dobrej, waniljowej czekolady utrzeć na tarce, dodać do kawianej masy jeszcze gorącej i ucierać razem, aż się masa zrobi gładka zupełnie i przestygnie. Trzy ćwiartki cukru utrzeć do białości z pięcioma żółtkami, złączyć obie masy razem i wyrobić jak

„MÓJ KREM“ znak ochronny „Żmija“

1) działa jako środek ochronny na zmianę temperatury; 2) przeciw zmarszczkom; 3) dla wybielenia i wygładzenia skóry; 4) do masażu; 5) nadaje się do stałego użytku pod puder i róż

DR. J. ŚWITALSKIEJ

SKŁAD GŁÓWNY: TOW. AKC. KARPŃSKI

W-rszawa, ul. Elektoralna 35.

„MÓJ PUDER“

(puder higieniczny)

we wszystkich kolorach i odcieniach

najdoskonalej. Półmisek metalowy głęboki lub formę porcelanową, ogniotrwałą wysmarować grubo masłem i wysypać bułeczką. Białka ubić na twardą pianę, zmieszać ostrożnie z masą i wstawić w niezbyt gorący piec na godzinę. Podaje się w tem samym naczyniu. Stać nie może, gdyż jak każde ciasto zaparzone, opadnie. Do tego podaje się zimną śmietankę, lub sos waniliowy, zaciągany. Proporcja na 6 osób.

SALATA KARTOFLANA.

Ta zwykła, łatwa do wykonania sałata, jest wyborna do szynki, sztufady i zimnej cielęciny. Kartofle białego, kruchego gatunku ugotować w łupinkach. Gorące jeszcze obrać i dać im wystygnąć. Na piętnaście dużych kartofli wziąć trzy cebule hiszpańskie, lub w braku ich tak zwane „cukrowe”, których smak jest również łagodny. Cebule, oczyszczone, pokrajać w plastry i podzielić na krążki, kartofle pokrajać w cienkie plastry, jedno i drugie przekładać rzędami w dużej salaterce, lekko soląc rząd każdy, (można też nieco popieprzyć, najlepiej białym pieprzem), polać naprzód bardzo obficie dobrą oliwą, a po kilku godzinach paru łyżkami dobrego octu, lub sokiem wyciśniętym z cytryny. Trzymać tak 24 godziny, od czasu do czasu lekko mieszając, aby nie przelamać plasterów, a cała sałata jednakowo przesiąkła oliwą i octem. Przed podaniem ubrać po wierzchu kaparami, krajanami korniszonami, grzybkami, lub siekanym szczypiorkiem.

JAJA W GALARECIE.

Dwanaście jaj, ugotowanych na twardo, oczyścić i przekrajać na połówki. Trzy szklanki dobrego rosółu z wołowiny, cielęciny, lub drobiu sklarować białkiem, zaprawić kilku kroplami karmelu dla nadania złocistego koloru, na szklanke rosółu brać dwa listki białej żelatyny, wymoczyć ją w zimnej wodzie, rozpuścić w rosółu. Jeżeli mamy w domu jakie grzybki, lub korniszony, osączyć parę łyżek ich na serwecie, aby nie było zbyt dużego octu. Marchewkę i pietruszkę z rosółu pokrajać w małe talarki. Do formy nalać na palec galarety, zastudzić, układać jaja naprzemian z dodatkami, zalać resztą galarety i wynieść na chłód na sześć godzin przynajmniej. Wyrzucić na półmisek, ubrać włoską sałatą z jarzyn i podać do nich sos provençal, tatarski, musztardowy, lub zwykły chrzan z octem.

JAJA Z MAKARONEM I POMIDORAMI.

Czterdzieści deka średnio grubego makaronu odgotować, odcedzić i przelać zimną wodą. Półmisek metalowy wysmarować grubo masłem, położyć na to trzecią część makaronu, sześć jaj gotowanych na twardo, oczyszczonych z łupin i pokrajanych na ćwiartki, pokryć to pomidorami krajanami w cienkie plastry. Z braku pomidorów świeżych, konserwę pomidorową rozprowadzić rosółem i nią polewać makaron. Rozrzucić małe kawałeczki masła. Dać grubą warstwę makaronu, skropić masłem, osypać grubą warstwą ostrego sera z bułeczką i wstawić w piec do zrumienienia.

JAJA Z KARTOFLAMI I CHRZANEM.

Ugotować kilo kartofli w łupinach, (brać gorące, pokrajać cieniucho i zrumienić dobrze na maśle, lub na fryturze. Dwaście jaj na twardo ugotowanych oczyścić z łupinek, pokrajać na ćwiartki. Utrzeć spory korzeń chrzanu, posypać cukrem, posolić, skropić octem, niech tak postoi godzinę, aby stracił zbyt ostrą ostrość. Zasmażyć łyżkę masła z dwoma łyżkami mąki, rozprowadzić rosółem, lub wodą na sos gęsty bardzo, dodać utarty chrzan, posolić do smaku, włożyć parę łyżek śmietany. Na półmisku metalowym ułożyć kartofle i jaja naprzemian, układając w ładną kopułę, pokryć chrzanowym sosem, polać masłem zrumienionem z bułeczką i wstawić na kilka minut pod blachę dla rozgrzania.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Prawdziwą plagą bywają na wiosnę mrówki, które delikatnym węchem wiedzione, dostają się do najszczelniej zamkniętych miejsc, w których przechowuje się słodycze. Ponieważ mrówki nie znoszą karczofy, trzeba kawałek jej zwilżyć spirytusem, utrzeć na proszek i posypywać nim miejsca, które od napadu mrówek ocalić chcemy.

* * *

Przesadzając kwiaty, trzeba brać doniczkę o tyle większą od poprzedniej, aby dawna luźno w nową weszła, a nawet w nią się schowała.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani Kowalskiej.

Miejsce stałego zamieszkania Ignacego Pańderewskiego: Szwajcarje, Morges, willa Rion - Bosson pod Lozanną.

Pani R. M. Patump.

Do najlepszych gimnazjów zaliczane są: Imienia Ad. Mickiewicza Sewerynow 4. Ks. J. Poniatowskiego Złota 53. Staszycy Polna 60 i wiele innych. Oprócz rządowych jest dużo dobrych prywatnych z prawami. Do państwowych bardzo trudno dostać się, pierwszeństwo mają synowie urzędników państwowych. Co do egzaminów, to wynik ich zależy od przygotowania i ogólnego rozwoju inteligencji dziecka. Sądzę, że podania trzeba składać zaraz po ferjach wielkanocnych. Termin egzaminów będzie ogłoszony w pismach, dowiedzieć się też można na miejscu przy zapisie.

Pani Z. z Prosznia.

Dojrzałe jagody morwy rzetrzeć łyżką na polewanej misce, płókać następnie dopóki ziarenka zupełnie się nie oddziela i nie zostaną czyste. Odsączyć, rozłożyć na papierze, suszyć na powietrzu, ale nie na słońcu, wysuszone przechowywać w suchym miejscu, żeby nie spleśniały.

Pani Irene C.

Podszewkę najlepiej podpruć koło kołnierza, podłożyć czysty kawałek płótna i prać benzyną brudne miejsce, trzęc ciągle póki nie wyschnie, żeby nie zaciekła. Futra, imitacje z królików, dostanie Sz. Pani we wszystkich kolorach, najlepiej wziąć w tym samym co materiał kolorze. Z prawdziwych niebarbowanych futer ładnie pasować będą tumaki, nurki, lub kanki.

NOWOŚCI LETNIE
NADESZŁY

Wysyłka prób i zleceń
ponad zł. 25—bezpłatnie.

BRACIA JABŁKOWSCY
Warszawa, Bracka 25.

Pani St. Szulcowej.

A tres żądany przez Sz. Pania: „Otich mowska, Warszawa Krucza 19” Szkoła Robót ręcznych, u pani O. znajdzie Pani z pewnością kierunek odpowiedzi.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Matce.

Co do mydeł dla dzieci doskonałe są mydła rumiankowe Tow. akc. Karpiński b. delikatne, zdrowe i przyjemne w użyciu. Przy wyprysku na twarzy, jeśli jest łagodny, unikać wody, pulnować 2 razy dziennie i dwa razy na dzień zmywać twarzyczkę dziecka najlepszą oliwą, kupioną w aptece.

Prenumeratorki z kresów.

Dolegliwości wewnętrzne trzeba leczyć dłuższy czas, rezultaty leczenia okażą się niewątpliwie. Środka na schudnięcie bez badania lekarza dać nie można, gdyż nadaje się tylko dla osób silnych i zdrowych.

Co do cery proszę o podanie bliższych szczegółów.

„Hanna”

Kluczyk do wyciskania wągrów nabyć można w Warszawie u Jodłowskiego, Marszałkowska 81. Co do farby „Henna”, to jest farba jako gotowy już płyn „l'Oreal” i farba proszek, który dopiero trzeba gotować. Otóż lepszy jest ów płyn gotowy, który można nabyć w rozmaitych odcieniach. Odcienie jaśniejsze wyrabiane są jako dwa płyny, w dwóch butelkach. Należy je używać wedle przepisu załączonego przy każdym pudełku, najpierw po odłuszczeniu zupełnym i wyschnięciu włosów, płyn pierwszy, a następnie drugi. Odcień należy wybierać zawsze jaśniejszy, niż się chce mieć ufarbowane włosy, i już w robocie regulować w ten sposób, że jeżeli się chce mieć odcień ciemniejszy, to każdy płyn dłużej trzeba pozostawić na włosach, to jest od 10 do 20 minut. Gdy się już z drugim płynem skończyło, należy włosy umyć mydłem w ciepłej wodzie, spłókać i osuszyć ogrzanymi ręcznikami.

P. Julja - Sosnowice.

Niema środka na wzmocnienie rzęs. Stosowanie galaretki Abaridowej na noc nie zawsze jest wskazane. Aby zdecydować, trzeba poznać skórę, czy jest sucha, czy tłusta, cienka, wrażliwa. Niektóre skóry konieczne potrzebują na noc kremu. Gdy się posiada dane, dopiero wtedy można odpowiednio poradzić.

Halka - Borysław.

Mało szczegółów Pani podaje o łuszczeniu się skóry na twarzy, więc trudno poradzić.

Proszę spróbować umyć twarz rano i wieczorem ciepłą wodą, po osuszeniu lekko posmarować kremem „Mój Krem”, zapudrować higienicznym pudrem „Mój puder”. Po dwóch tygodniach proszę napisać o rezultatach.

Mara Mar.

Przyciemnia brwi najlepiej farba roślinna Henna l'Oreal, gotowy płyn, przepis postępowania załączony jest przy każdym pudełku. Odsyłam do odpowiedzi „Hanna”.

„Jedna z Czytelniczek”.

Pewnego środka dla osiągnięcia tak subtelnej rzeczy, jak odcień szary, przy jednoczesnym pojaśnieniu włosów niema.

Abonentka

Na łuszczenie się i „kwitnienie” paznokci środka niema. Co do płynu „Hell”, nie znam tego preparatu. Pojaśnić blond włosy można spłókując po umyciu naparzonem rumiankiem, litr na miednicę wody. Byłby rezultat zabieg ten należy stosować przez kilka tygodni. Trzeba być b. ostrożną w wyborze reklamowanych środków, gdyż można sobie przyczynić niepowetowane szkody.

B. W. Potok Górny.

List wysłany pocztą.

Troskliwej Matce

Zupełnie słusznie jest Pani ostrożna w wyborze mydła dla dzieci, gdyż mydło nieodpowiednie może wywołać poważne nierzadkie podrażnienia skóry.

Poleciać mogę doskonałe dla dzieci mydło rumiankowe, wyrobu Karpińskiego. Mydło to jest higieniczne i przyjemne w użyciu.

Dr. J. Świtalska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 16

323. Suknia z crêpe marocain koloru bois de rose — kanzelka i buty z koroneczki marszczonaj.

324. Suknia z wełny, lub płótna — nazywana ciemniejszemi plisami.

325. Suknia na ulicę z czarnego kasha, przybrana jedwabiem, układanym w pliseczki.

326. Kostjum z kasha granatowego układany w kontrafałdy.

327. Suknia na ulicę z kreponu wełnianego — przód jaśniejszy plisowany.

328. Sukienka dla pięcioletniej dziewczynki z satyny deseniowej i gładkiej.

329. Sukienka dla dziewczynki sześciolatniej z szarego, lub białego płótna, barwnie haftowana.

330. Kostjum ciemno brązowy — na bokach kontrafałdy.

331. Kostjum angielski z granatowego kasha.

332. Suknia letnia z crêpe de chine'u lub markizety w dwóch kolorach

333. Suknia z woalu gładkiego i deseniowego.

334. Ubranko dla chłopczyka pięcioletniego — kołnierzyk z organdy.

335. Ubranko dla małego chłopczyka — Majtki wełniane, lub welwetowe — bluzeczka z surowego jedwabiu.

336. Suknia z płócienka w kratę, przybrana gładkimi plisami

337. Suknia z georgette'y lub crêpe de chine'u — godety i krawat haftowane, lub z deseniowego materiału.

338. Ranny kaftanik z flanelki — przód haftowany, plisa ciemniejsza.

339. Strojna bluzka z crêpe de chine'u, lub georgette'y

340. Bluzka marszczona z georgette'y lub markizety.

341. 342 — 343 — 344. Modne fasony spódnic.

345. Matinka z kloszową falbaną z różowego crêpe de chine'u.

346. Wzór na serwetkę — haft zakopiański.

347. Wzór na teczkę — haft kolorowy, wielkość naturalna

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku MÓD, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mÓD i robÓT, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrús — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu” nie wysyłamy.



MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALJĘ



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

WYTW. AKC. "Fr. KARDPIŃSKI" W WARSZAWIE



MYDŁO KONIK
LILJOWO-MLECZNE

MARK. OCHR.
KONIK

CIESZY SIĘ OD PÓŁ WIEKU
NAJWIĘKSZYM POWODZENIEM
CAŁEGO ŚWIATA KULTURALNEGO
UDELIKATNIA I ODŚWIEŻA CERĘ.

PERFUMY
WODY KOŁOŃSKIE
MYDŁA

KALIA
JSTE

PRZODUJĄ W POLSCE
J. & S. Stempniowicz
WARSZAWA POZNAŃ RADOM

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

Matki dbające o higienę dzieci
używają

MYDŁO HIGJENICZNE

PUDER „DLA DZIECI”

Wyrobu Laboratorium Apteki

M. MALINOWSKIEGO

Warszawa, Nowy Świat 31.



CHORZY!

Używajcie tylko pewna i wypróbowane
środki

Tysiące ludzi chronicznie chorych uzdro-
wiły od roku 1602

REFORMACKIE

pigułki z m. Zakonnik

Zalecane przez powagi lekarskie REFORMACKIE pigułki z m. zakonnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia ŻOŁĄDKOWE, cierpienia NEREK, cierpienia WĄTROBY, KAMIEŃ ŻÓLCIOWE, cierpienia MEMOROIDALNE, REUMATYZM, ARTRETYZM, bóle GŁOWY, WYRZUTY i LISZAJE, pobudzają TRAWIENIE, APETYT i przy skłonnościach do OBSTRUKCJI są niezastąpionym środkiem PRZECZYSZCZAJĄCYM.

Wzięcie 1 do 2 pigulek na noc. ————— Cena pud. zł. 1,35

Wyrobu apteki KARCZEWSKI-TUSZYŃSKI Warszawa, Trąbacka 4.

Żądać w aptekach i składach z Zakonnikiem



Jedna Łyżka Stołowa do Jednej Bluzki

Jedna łyżka Lux'u rozpuszczona w gorącej wodzie daje obfite i miękkie mydliny. Lux jest oszczędny w użyciu, gdyż jego cienkie, przezroczyste płatki rozpuszczają się całkowicie. W mydlinach Lux'u niema ani jednej nierozpuszczonej cząsteczki. W Luxie można prać bez obawy wszystkie delikatne tkaniny. Lux nie skurczy materiałów wełnianych lub flaneli. Lux nie żółci jedwabi.

LUX

KUPON

Do p. REIDA. Skrzynka pocztowa 479.
Poczta Główna, Warszawa.

Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”

Nazwisko i adres

Mydlarnia w której awykie czynię zakupy

Kupon ważny aż do odwołania.

Każda osoba może otrzymać jedną próbkę.

„Bluszcz”

Przedstawiciel na Polskę fabryk firmy **LEVER BROTHERS LIMITED (Anglja)** L. REID, Warszawa, Moniuszki 11

Tele. 204-87 i 186-08

Do nabycia we wszystkich składach aptecznych i mydlarniach

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{1}$ — 450 zł., $\frac{1}{2}$ str. — 260 zł.,

$\frac{1}{4}$ str. — 150 zł., $\frac{1}{8}$ str. — 80 zł., $\frac{1}{16}$ str. — 45 zł.,

$\frac{1}{32}$ str. — 30 zł. Za tekstem o 50% drożej.

Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.